



SENAT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Zapis stenograficzny
(1338)

63. posiedzenie
Komisji Kultury i Środków Przekazu
w dniu 8 czerwca 2004 r.

V kadencja

Dziedzictwo antyczne a polska tradycja kulturowa.

(Początek posiedzenia o godzinie 11 minut 05)

(Posiedzeniu przewodniczy przewodniczący Ryszard Sławiński)

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Otwieram seminaryjne posiedzenie senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu.

Witam państwa bardzo serdecznie na posiedzeniu dotyczącym takiego trochę dziwnego – przepraszam za to słowo – tematu: „Dziedzictwo antyczne a polska tradycja kulturowa”.

Chciałbym poinformować, że inicjatorem tej konferencji, którą właściwie nazywamy seminaryjnym posiedzeniem komisji, jest obecny tutaj pan senator Jan Szafaraniec, członek naszej komisji, człowiek oddany polskiej kulturze jak mało kto.

Spotykamy się dzisiaj z uczonymi, którzy uprawiają taką bardzo specyficzną dziedzinę wiedzy kulturowej, naszym zdaniem niezwykle ważną, a mianowicie dotyczącą antyku i tego wszystkiego, co z antyku wynika bądź może wynikać dla współczesnej kultury polskiej i europejskiej.

Zabiegani, zajęci codziennymi sprawami, często nie zastanawiamy się, skąd wiele kwestii się wywodzi, skąd wzięło się jakieś pojęcie, jak powstała tradycja, która do nas dotarła i stała się naszą własnością, należy do nas. Myślę, że dzisiejsze spotkanie w jakiś taki zbiorczy sposób pokaże nam, że jesteśmy zakorzenieni w bardzo odległej przeszłości – w antyku, i że nasze współczesne poczynania kulturalne czy kulturowe skądś się biorą, choć często o tym nie wiemy.

Myślę więc – mimo że zwrócono mi w Senacie uwagę na akademickość tego tematu – że jest to sprawa ważna. Mam nadzieję, że dzięki temu spotkaniu środowisko, które państwo reprezentujecie, w pewnym sensie hermetyczne, mało znane, mało upublicznione, będzie mogło przedstawić pewne myśli na tym dzisiejszym seminarium, dzięki czemu będziemy mieli pewne kompendium wiedzy na temat tego, co wywodzi się z antyku, a dotyczy przecież naszych współczesnych, bieżących spraw.

Szanowni Państwo, chciałbym uprzejmie poinformować, że z dzisiejszej konferencji zostanie sporządzony stenogram, który zostanie opublikowany w internecie. Zrobimy też wszystko, aby spotkanie to zostało udokumentowane w postaci pozycji książkowej.

Proponowałbym następujący sposób procedowania: wszyscy referenci, którzy są zapisani na liście mówców, wygłoszą po kolei swoje referaty. Potem ogłosimy przerwę na kawę, na rozluźnienie się, a po przerwie zaproponujemy dyskusję, po której nastąpiłoby coś w rodzaju podsumowania.

I jeszcze jedna, taka bardzo praktyczna uwaga, którą zawsze wygłaszam: bardzo proszę, abyście państwo, zabierając głos, byli uprzejmi podawać swoje imię, nazwisko

i reprezentowaną instytucję. To jest bardzo ważne, ponieważ przebieg naszego posiedzenia jest rejestrowany i spisywany w celu sporządzenia stenogramu.

Zgodnie z planem, który państwo otrzymali, słowo wstępne wygłosi senator Jan Szafraniec.

Bardzo proszę, Panie Senatorze.

(*Senator Jan Szafraniec*: Czy mogę stamtąd?)

Tak, oczywiście. Wszyscy referenci również będą występować z mównicy. Bardzo proszę, Panie Senatorze.

Senator Jan Szafraniec:

Dziękuję bardzo.

Szanowny Panie Przewodniczący! Szanowni Państwo!

Na wstępie pragnę podziękować panu przewodniczącemu senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu, senatorowi Rzeczypospolitej Polskiej Ryszardowi Sławińskiemu, a także sekretariatowi komisji, za zorganizowanie dzisiejszego spotkania.

Temat seminarium wpisuje się w sytuację polityczno-społeczną i kulturową, jaka zaistniała w naszym kraju w okresie przemian ustrojowych i akcesji naszej ojczyzny do struktur unijnych. W związku z tym zasadna wydaje się refleksja nad kondycją naszej kultury w kontekście cywilizacji antycznej, która ją formowała i kształtowała. Czy w świecie, w którym relatywizuje się wartości absolutne, a absolutyzuje wartości względne, zdołamy zachować naszą tożsamość kulturową? Czy zdołamy uchronić platońską triadę wartości: dobra, prawdy i piękna, która w obramowaniu chrześcijańskiej zasady miłości warunkowała, tworzyła i pielęgnowała naszą tradycję? Jednym słowem, czy będziemy zdolni zachować naszą tożsamość, odcinając korzenie, które czerpały i czerpią życiowe soki z bogatej kultury obszaru Morza Śródziemnego?

Kiedyś, przed laty, Polska ratyfikowała tak zwaną konwencję berneńską, która chroniła przyjęty przez państwo wysoki poziom kultury, uniemożliwiając tym samym import kulturowy niespełniający wymogów określonych przez dany naród. Obowiązywała wówczas zasada tak zwanego reżimu narodowego. Obecnie obowiązuje zasada reżimu wspólnotowego, na mocy której państwa, między innymi Wspólnota Europejskiej, zobowiązane są przyjąć do dystrybucji na własnym terytorium dzieła kultury wytworzone w innym państwie członkowskim, nawet wtedy, gdy ich poziom odbiega od standardów narodowych. Rodzi to uzasadniony niepokój o stan i kondycję naszej rodzimej kultury.

Myślę, że odpowiedzi na te niepokoje udzielią nam nasi znakomici referenci. Dziękuję bardzo za uwagę.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Dziękuję bardzo, Panie Senatorze.

Zgodnie z listą referentów jako pierwsza zabierze głos pani profesor doktor habilitowana Elżbieta Sarnowska-Temeriusz, która wygłosi referat zatytułowany „Europejska Rzeczpospolita Literacka. Przeszłość i trwanie”.

Zapraszam panią profesor do mównicy.

**Professor w Pracowni Poetyki Historycznej
w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk
Elżbieta Sarnowska-Temeriusz:**

Dziękuję.

Bardzo się cieszę, proszę państwa, że mogę tu dzisiaj mówić o sprawach dawnych i trochę nowszych.

Pan senator Sławiński zechciał powiedzieć, że temat tej konferencji brzmi jakby odrobinę dziwnie. Muszę powiedzieć, że temat mojego wystąpienia w moim odczuciu również brzmi trochę dziwnie, ale sądzę, że w toku tego referatu da się to jakoś wyjaśnić. „Europejska rzeczpospolita literacka. Przeszłość i trwanie” to formuła niejako historyczna, wywodząca się z przeszłości, którą w tym wystąpieniu chciałabym także skierować trochę w przyszłość.

Jednym z najbardziej charakterystycznych określeń człowieka w antropologii humanistyczno-renańskiej była formuła *homo loquens*, oddająca pogląd, iż tym, co prawdziwie wyróżnia istotę ludzką, jest przemyślna i subtelna sztuka mowy. Kiedy jednak Petrarca wspominał o „rozmowach duchów dokonywanych ponad wiekami”, miał na myśli przede wszystkim inne wspaniałe dobrodziejstwo, pozwalające nie tylko na kontaktowanie się ludzi żyjących daleko, ale również na przekraczanie barier czasu, utrwalanie minionych wydarzeń, uobecnianie przeszłości.

Motyw pisma, tekstu i książki jako cudownych odkryć ludzkości znany był już w starożytności i w średniowieczu. W czternastowiecznym dziele Ryszarda de Bury „Philobiblion” można spotkać nie tylko deklaracje na rzecz poznawczej wartości książek, lecz także apoteozę pisania i lektury: „zajmowanie się piśmem i czytaniem, czyli książkami, jest życiem” – pisał Ryszard de Bury.

W piętnastowiecznym środowisku humanistów włoskich uważano powszechnie, że w piśmie, w teście i stylu utrwalane są nie tylko myśli poszczególnych autorów czy też gotowe struktury myślenia, ale zarazem wyraża się w nich duch całej społeczności lub nawet całego narodu. Model kultury, który usiłowali tworzyć humaniści, miał urzeczywistniać pełnię człowieczeństwa. Według słów Leonarda Bruniego, włoskiego humanisty tamtych czasów, poszukiwania te noszą nazwę *studia humanitatis* dlatego, że udoskonalają i przyozdabiają człowieka. W ośrodkowym punkcie owego modelu umieszczone zostały nauki humanistyczne, którym przyznawano priorytet w stosunku do wiedzy przyrodniczej. Szczególną wagę przywiązywano do kwestii języka jako narzędzia wykorzystywanego przez szereg ludzkich dyscyplin i umiejętności, jako swoistego przejawu jedności ludzkich umysłów i spójni społeczeństwa. Należy dodać, że łaciński termin *humane litterae*, którym posługiwali się humaniści, był wspólną nazwą zarówno dla literatury, jak i dla nauki, odnoszony był więc do szeroko pojmowanego piśmiennictwa.

Oscyłowanie między humanizmem kulturowym, pojmowanym szeroko, a wąsko pojętym humanizmem literackim ujawniało się w różnym rozkładaniu akcentów przy określaniu właściwości rzeczypospolitej literackiej – *respublica litteraria*, lub literackiego państwa – *policia litteraria*, szczególnej rzeczywistości kreowanej przez humanistów.

Juliusz Domański w swojej książce „Tekst jako uboecnienie”, pisze: „Wedle tego, co zdołałem znaleźć w związku z pojęciem «rzeczypospolitej literackiej» [...], czyli społeczności użytkowników pisma i literatury, ludzi piszących i czytających, początku owej nowej idei należy dopatrywać się u szesnastowiecznego humanisty hisz-

pańskiego Juana Luisa Vivesa, prawie współczesnego Erazmowi z Rotterdamu”. Wiele wskazuje na to, że pierwszym humanistą, który użył łacińskiego terminu *respublica litteraria*, był właśnie Erazm z Rotterdamu. W swoim dziele „Antibarbari”, wydanym w 1494 r., termin ten i jego synonim *societas* albo *sodalitas litteraria* odnosi się do wszystkich, którzy wspierają *antiquae* lub *politiores litterae* przeciwko atakom barbarzyńców – w cudzysłowie oczywiście – a więc tych, którzy tego nie doceniają.

Społeczność, którą łączy więź tekstowa żyjących aktualnie z minionymi, była społecznością o charakterze diachronicznym – tak to rozumieci humaniści. W siedemnastowiecznym dziele hiszpańskim „Republica literaria” Diego Saavedry de Fajardo, wydanym w 1670 r., w konwencji snu opowiada się o wspólnocie ludzi pióra i nauki, o świecie piśmiennictwa i czytelnictwa. Dzieło to jest zarazem kpina z rojeń humanistów o tym, że w tekście i książce trwa nadal człowiek, który tam zdeponował swoje myśli i uczucia – kpina nawet z istoty piśmiennictwa i nauk.

Jak jednak zauważa profesor Domański, obecny zresztą wśród nas, z czego bardzo się cieszę, pojęcie *respublica litteraria* traciło z biegiem czasu komponent diachroniczności. A więc nie miała to już być wspólnota żyjących z umarłymi trwająca przez stulecia, tylko wspólnota ograniczona do czasu teraźniejszego. Oznaczało to coraz częściej społeczność teraźniejszą, aktualną społeczność uczonych, ludzi piszących i czytających.

Główną zasadą określającą stosunek literatury i kultury w czasach renesansu i baroku do dziedzictwa kulturowego i literackiego Grecji i Rzymu było naśladowanie. Koncepcja naśladowania formułowana była zarówno przez autorów traktatów teoretycznych, jak też w osobnych eseistycznych studiach. Była doskonale znana i realizowana w praktyce twórczej. Formuła naśladowania obejmowała kwestię wyboru wzorów literackich i technikę ich kopiowania, a zarazem uwzględniała różne stopnie imitacyjnej zależności. Dopuszczała także innowację, kreatywność i rywalizację z antycznymi autorytetami.

Zarówno w epoce renesansu, jak i baroku kultura i literatura polska uczestniczyły w tej wielkiej kulturowej wspólnocie europejskiej, chociaż równocześnie miały też własne rozbłyski talentu, nowatorstwa i oryginalności – tego, co można by nazwać polskością. Renesansowa twórczość Jana Kochanowskiego była takim szczególnym przywołaniem antycznej tradycji grecko-rzymskiej, przywołaniem niemal modelowym i zarazem rodzimym, a więc w pełni indywidualnym, obleczone między innymi w kształt arcydzieła, jakim wciąż, po upływie stuleci, pozostają „Treny”.

Teoria imitacji była integralnym składnikiem programu estetycznego, który zakładał ponawianie określonego typu wzorów artystycznych i nawiązywanie łączności z określonym historyczno-literackim terytorium. Od zarania renesansu bardzo istotną rolę dla zagwarantowania literaturze europejskiej ciągłości i spoistości pełnił postulat przestrzegania prawideł artystycznych, reguł, zawsze wywodzących się z normatywnej poetyki antyku. To, aż do początków XIX wieku, miało podtrzymywać klasycystyczną więź wspólnotową.

Współczesny badacz Stanisław Balbus uchwycił i trafnie wyraził istotę literackiego naśladownictwa, jego idee i założenia. Programowe naśladownictwo polegało, zdaniem Balbusa, na ponawianiu arcydzieł przeszłości odległej, lecz uważanej za własną.

Koniec wspólnego świata kultury oznaczał radykalne przemiany w sferze komunikacji literackiej. Społeczność użytkowników pisma i literatury, ludzi piszących

i czytających, podlegała stopniowo coraz większemu zróżnicowaniu. Zanikała symbioza łaciny i języków narodowych, choć w Polsce stało się to dopiero w początkach osiemnastego stulecia. Słabła wspólnota systemów semiotycznych i wspólnota światopoglądowa, którą Jean Paul Sartre dostrzegał jeszcze w kulturze XVII wieku, zauważając, że „Autor i czytelnik należą do tego samego świata i mają takie same poglądy na wszystko”.

Europejska rzeczpospolita literacka traciła znamiona jedności. Aż do początku XIX wieku europejską kulturę literacką przenikała, jak wspomniałam, klasycystyczna, wspólnotowa więź, dopuszczająca oczywiście istnienie wariantów terytorialnych, narodowych, historycznych. Rygory wspólnego języka gwarantowały kulturową ciągłość. Ponawianie wzorów miało chronić twórców przed utratą poczucia wspólnoty. Przesłanki wielkiej zmiany tkwiły niewątpliwie w fundamentalnych przekształceniach historiozoficznych, jakie dokonały się w dobie romantyzmu i wpłynęły również na stosunki panujące na obszarach estetyki i literatury. Postulat oryginalności i indywidualizmu artystycznego wiódł w konsekwencji do wyczulenia na odrębność, inność cudzych wypowiedzi. Wysunął na plan pierwszy prawa własności form i stylów, które przedtem zasiedlały obszar wspólnego świata.

Współdziałanie indywidualizmu, świadomości narodowej i historyzmu wiodło do stopniowej atomizacji wspólnoty kulturowej i nasilenia różnojęzyczności kultury. Wypowiedź poety, twórcy odrywała się niejako od wspólnego języka i nie była już zanurzona w wielkim wspólnym świecie kultury. Nie mogła też być dla wszystkich w ten sam sposób zrozumiała. Artysta zyskał świadomość, że zwraca się do społeczności różnojęzycznej, dysponującej własnymi, różnojęzycznymi tekstami. Ta rosnąca różnojęzyczność kultury zaczęła stanowić coś w rodzaju zapory dla każdej poszczególnej wypowiedzi artystycznej, która aby dotrzeć do wspólnego znaczenia i do odbiorcy, czytelnika, musiała przedzierać się przez te różnorakie języki i sformułowane w nich cudze teksty. Musiała jawnie konwersować z nimi. Przełom romantyczny okazuje się zatem w określonym wymiarze przełomem intertekstualnym, zmieniającym w sposób istotny dotychczasowy sposób obcowania tekstów.

Powstaje z kolei pytanie, czy w świetle dotychczasowych uwag można stwierdzić, że podczas dwóch ostatnich stuleci, a więc XIX i XX wieku, ale oczywiście również na początku XXI wieku, zanikły warunki sprzyjające istnieniu europejskiej rzeczpospolitej literackiej i kulturowej. Możliwość porozumienia się ludzi piszących i czytających stała się trudnym wyzwaniem. Pozostało jednak wiele nienaruszonych znamion ciągłości i wspólnoty, a mówiąc prościej, w XIX, XX i już w XXI stuleciu gwarancją ciągłości, całościowości i spójności kultury europejskiej przestały wprawdzie być uniwersalne reguły i wzory artystyczne wywodzone z antyku, pozostały natomiast pewne idee, formy, tematy i motywy, czyli to, co nazywamy topiką antyczną, chrześcijańską, judaistyczną i biblijną.

W „Słowie od tłumacza” Andrzej Borowski, autor polskiego przekładu monumentalnego dzieła Roberta Curtiusa, stwierdza: „Literatura europejska staje się tutaj nie tyle pojęciem wyodrębniającym czy wartościującym w stosunku do innych kultur literatury światowej, co raczej propozycją pewnego sposobu widzenia owej wspólnoty kulturowej zwanej Europą”. Sam Curtius postrzega literaturę europejską – od Homera do Goethego i dalej, aż po dwudzieste stulecie – jako wolny od granic czasowych, nieustannie trwający świat. Przypomnijmy jego znamienne wypowiedź: „Bezczasowa

obecność, która jest w sposób tak istotny charakterystyczna dla literatury, oznacza, że literatura czasów minionych, może ciągle oddziaływać czynnie w utworach literackich epok nowszych. Tak więc Homer u Wergiliusza, Wergiliusz u Dantego, Plutarch i Seneka u Szekspira, Szekspir [...] u Goethego, Eurypides w *Ifigenii Racine'a*, a także Goethego. Z nowych już czasów: [...] *Odyseja* u Joyce'a, Ajschylos, Petroniusz, Dante, Tristan Corbière i hiszpański mistycyzm u T.S. Eliota. Jest tutaj niewyczerpane wprost bogactwo możliwości wzajemnego oddziaływania”.

Do wypowiedzi Curtiusa odwołuje się ponad dwadzieścia lat później Denis de Rougemont, z pochodzenia Szwajcar, filozof i historyk kultury, który napisał w 1970r. w „Liście otwartym do Europejczyków”: „nasze literatury narodowe powstały ze zróżnicowania [...] tej wspólnej podstawy, którą jest literatura europejska”. Literacką wspólnotę Europy gwarantuje dziedzictwo dwudziestu sześciu wieków, które zawiera w sobie cały skarb form i tematów obecnych w naszym piśmiennictwie. Jak zauważa de Rougemont, „Podobieństwo gatunków, struktur i figur retorycznych, niedostrzeżane przez nas, gdyż nazbyt oczywiste, ma znaczenie decydujące: potwierdza ono specyfikę i podstawową jedność życia literacko-kulturalnego Europy”.

Jednakże jedność kultury europejskiej XX stulecia w ujęciu de Rougemonta nie przypomina dawnej spójni kulturowej trwającej do czasów Goethego, jest bowiem jednością kultury pluralistycznej, „wspólnotą wartości antynomicznych, o bardzo różnym pochodzeniu, połączonych w bardzo różnych proporcjach”. Tak więc wspólny świat kultury, którego kres nastąpił z końcem XVIII i początkiem XIX wieku, przeobraził się w inną rzeczywistość. Aby ją rozpoznać, należy – jak sugeruje de Rougemont – „wyjść od jedności istniejącej, która jest poza nami i która trwa w nas, aby dojść do zjednoczenia w różnorodności”. Tak właśnie autor „Listu otwartego do Europejczyków” nazywa Europę – ojczyzną różnorodności, a nawet ojczyzną twórczej niezgody. Tak pojęta europejska jedność kulturowa wyrasta ze wspólnych korzeni, żywi się wspólną, śródziemnomorską tradycją.

Tegoroczny laureat Nagrody Literackiej „Nike”, poeta, historyk literatury i eseista Jarosław Marek Rymkiewicz, pisał przed laty: „Twórczość poetycka jest – bez względu na to, czy poeta chce tego, czy nie, czy wie o tym, czy nie wie – odwzorowywaniem i ponawianiem kształtów, które znał czas miniony. [...] To, co dzieje się na wybrzeżach Morza Śródziemnego, nie zaczęło się wczoraj i nie skończy się, miejmy nadzieję, jutro”.

W dwudziestowiecznym myśleniu o kulturze europejskiej podstawowej wagi nabrała kategoria tradycji śródziemnomorskiej, określająca sposoby dialogu z przeszłością i konwersacji tekstów, form i stylów. Wspomina się często o wielkiej kulturotwórczej sile tradycji śródziemnomorskiej w XX stuleciu, o procesie przenikania się dziedzictwa ze współczesnością, o ciągłości i przemianie. Wskazuje się na Biblię i spuściznę antyczną jako na fundamenty kultury śródziemnomorskiej, zapewniające jej ciągłą spójność. Stanisław Stabryła w latach osiemdziesiątych minionego już XX wieku zauważał: „Antyk, podobnie jak Biblia, stanowi wspólną ojczyznę kultury europejskiej – stąd wszystko lub prawie wszystko, co wywodzi się z tych dwóch wielkich źródeł, posiada charakter uniwersalny, nie wymaga komentarza czy eksplikacji. Odwołania antyczne w poezji, niezależnie od tego, jaką przybierają formę, są w naszym kręgu kulturowym zużytkowaniem dobra wspólnego”.

W świetnym eseju „*Et in Arcadia ego*”, jeszcze w latach sześćdziesiątych, Ryszard Przybylski przy pomocy metody zwanej *explication de texte* objaśnił trzy utwory

napisane przez znakomitych poetów XX wieku, przywołujące odwieczne mity kultury śródziemnomorskiej: idyllę Osipa Mandelsztama „Wśród wzgórz Pierii”, poemat Eliota „Popielec” i poemat Różewicza „Et in Arcadia ego”. Analizowane utwory starają się, zdaniem Przybylskiego, włączyć tradycję w krąg potrzeb estetycznych współczesnego społeczeństwa, „ponieważ są poezją nie na dziś, nie na jutro, lecz na zawsze”.

Przebrany mitom antycznym poświęcił swoje studium Michał Głowiński – przebrany, nie wybrany, ponieważ taki właśnie jest tytuł jego książki: „Mity przebrane”. Wśród przedstawionych analiz we wnioski szczególnie znamienne obfituje szkic pod tytułem „Ten śmieszny Prometeusz”. Rozpoczynając rozważania od omówienia zabawnego, ironicznego wiersza Leopolda Staffa, Głowiński formułuje zarazem swoiste motto dla swoich przemyśleń. Stwierdza: „Staff igra w swym wierszu mitem heroicznym, w pełni świadom, że i czytelnik zdaje sobie sprawę z jego heroicznego. W literaturze naszego stulecia nastąpiło drugie strącenie Prometeusza: już nie z przestrzeni boskiej w przestrzeń kary [...], poza którą jedynie «mieszkały lwy», w przestrzeń już nie tylko nie-boską, ale także nie-ludzką; strącono go ze sfery patosu, wzniosłości i powagi w sferę groteski i absurdu”.

Po przypomnieniu wielowiekowych dziejów mitu, poczynając od tragedii Aj-schylosa i symbolicznych sensów wiązanych z Prometeuszem jako uosobieniem buntu, dobroczyńcą ludzkości, dawcą ognia i twórcą cywilizacji, Głowiński zatrzymuje się przy XVIII stuleciu, kiedy Prometeusz staje się figurą pierwszoplanową. Ujęcia Shaftesbury’ego i Goethego trzeba uznać już nie za aktualizację mitu, lecz za jego nowe wersje, o wielkiej sile oddziaływania. Prometeusz Goethego jest prototypem człowieka buntownika, a także twórcy, poety. Patronuje postawie, której nadano miano prometeizmu. Jest archetypem romantycznego bohatera.

Prometeusz współczesny był początkowo tworem egzystencjalistów – Albert Camus w swoim eseju sprowadził go do świata po wojennym kataklizmie. Jednakże, jak sądzi Głowiński, „Oryginalny Prometeusz naszego stulecia jest – z nielicznymi tylko wyjątkami – bohaterem groteskowym i właśnie absurdalnym”. Takie wcielenie występuje w utworze André Gide’a „Prometeusz źle spętany”, przełożonym na język polski przez Zenona Przesmyckiego i opublikowanym w „Chimerze” w 1901 r. „Prometeusz źle spętany” ujawnił sztukę dokonywania groteskowej transpozycji mitu – deheroizacji i degradacji.

W literaturze polskiej z takim właśnie, groteskowym Prometeuszem spotykamy się między innymi i Władysława Orkana. Prometeusz występujący później w utworach Wisławy Szymborskiej, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego czy też Zbigniewa Herberta okazuje się już postacią całkowicie zdeheroizowaną, a nawet groteskową: „chodzi w kasku strażackim i cieszy się z wnucząt” – Szymborska; jest prowokatorem, który zdradził ludziom fałszywe sekrety – Herling-Grudziński; „Pisze pamiętniki. [...] Ogień buzuje na kominku. Na ścianie wypchany orzeł i list dziękczynny tyrańca Kaukazu, któremu dzięki wynalazkowi Prometeusza udało się spalić zbuntowane miasto. Prometeusz śmieje się cicho. Jest to teraz jego jedyny sposób wyrażania niezgody na świat”.

Dwudziestowieczna obecność topiki antycznej o mitologicznej proveniencji w kulturze i literaturze europejskiej uruchamia rozmaite sensory i zostaje obciążona wieloma funkcjami. Uderzające są przemiany znaczeń, motywów i symboli mitycznych. Śródziemnomorski Orfeusz, w XVI stuleciu patron poezji natchnionej i nieśmiertelnej, uosobienie wiernej miłości, traci w wieku XX swoją radosną jasność.

W poezji Aleksandra Wata patronuje ciemności, nicości i śmierci. Z kolei mit Apollina i Muz „skurczył się” w poezji Mirona Białoszewskiego do pojedynczych słów, do drobnej aluzji o źródłach poetyckiego natchnienia, jak w wierszu „Namuzowywanie”: „Muzo / Natchniuzo”.

Warto na koniec poświęcić nieco więcej uwagi jeszcze jednemu mitowi antycznemu, a właściwie pochodzącemu z mitologii greckiej tak zwanemu tematowi imiennemu, który stał się w XX stuleciu wyznacznikiem całej serii utworów. W studium „Odys współczesny” Janina Abramowska, która śledzi we współczesnej literaturze europejskiej formy obecności mitu Odyseusza, zauważa: „Zaryzykować można twierdzenie, że Odys, jak wcześniej Herakles, Prometeusz czy Dionizos, stał się «maską» naszej epoki, mitem-kluczem, który otwiera i pomaga wyrazić jej problemy najważniejsze”.

Odys jako temat imienny nazaczył swoją obecnością wiele utworów europejskich powstałych w Grecji, we Włoszech, we Francji, w Anglii, w Niemczech, w Czechach i w Polsce. Mamy do czynienia z pewną równoważnością: Odyseusz równa się człowiek XX wieku. W ujęciach tego tematu można znaleźć rozliczne cechy charakteru i umysłu Odyseusza: pobożny, gniewny, mściwy, cierpiący, zniewolony, mądry, inteligentny, przebiegły, przewrotny, mężny, cierpliwy, wytrwały itd. O kluczowym znaczeniu Odysa stanowi jednak to, że wciela on najpełniej archetypowy wzorzec *homo viator* – człowieka wędrującego, tkwiący głęboko w problematyce antropologicznej. „Odyseja” była przez wieki opowieścią o wędrowaniu, które powinno się kończyć w punkcie wyjściowym – w domu. Romantyzm przewartościował wektory tej wędrówki, nadając jej kierunek nie do domu, lecz przed siebie. W literaturze modernistycznej wędrówką donikąd okazuje się życie. W „Powrocie Odysa” Wyspiańskiego bohater skażony złem nie może odzyskać domu, a w „Ulissiesie” Joyce’a Leopold Bloom wędruje w labiryncie miasta.

Najsilniej utrwala się stereotyp odśrodkowy – według słów Adama Ważyka Odyseusz jest naszym ulubieńcem, bohaterem naszego wieku, dopóki „tłucze się po morzu, dopóki nie wraca do Itaki”. „Nikt” Andrzejewskiego to określony wariant ostatniej podróży Odysa, katabaza. W końcowym fragmencie opowiadania Odys płynie przez mroczne przestrzenie oceanu na spotkanie własnej śmierci.

Wiersz Juliana Tuwima „Odyseusz” w formule lirycznej wyraża podobny brak nadziei:

„Poniosło mnie, Noego, rzuciło, Odysa, w zamęt
W kipiącą otchłań podróży, w dzieje moje człowiecze, [...]
Stań, wierna Penelopo, nad mym śmiertelnym wezłowiem,
Dzisiaj do ciebie wróciłem – i nowa się podróż zaczyna. [...]
Leć, ukochany domie, zerwij się z ziemi okrętem!
O, żono! O, przyjaciele! Doprawdy: nie ma powrotu”.

W utworze Tuwima Odyseusz bliski jest Noemu, bohaterowi biblijnego potopu. Z kolei utwór Tadeusza Różewicza, nawiązujący do biblijnej opowieści o synu marnotrawnym, sytuowany jest obecnie pomiędzy Biblią a „Odyseją”. Ta literacka historia oparta jest niejako na schemacie odejścia i powrotu, przy czym przenikają się w niej treści historii świeckiej i świętej.

Bohater wiersza Różewicza to *homo viator*, pomazaniec wojny, który stracił szansę domowego szczęścia i obciążony jest doznaniem niemożności i niepotrzebności powrotu. Zacytujmy:

„nikt mnie nie wita
i nikt nie poznaje
świat ten
dokoła
jest pełen beze mnie [...]
nikt nie wie,
że wróciłem
jeszcze czas
ucieknę
nikt nie będzie wiedział
że byłem tu i nie byłem [...]
to ja odszedłem
a oni zostali [...]
już ich nie widzę
oni mnie nie widzą [...]
wracać nie trzeba”.

Na koniec już tylko kilka słów podsumowania, niejako z pewnym postulatem na przyszłość.

Repertuar topiki i szerzej – powtarzalnych tematów, motywów i obrazów, wspólny dla obszaru kultury śródziemnomorskiej, pozostaje względnie stabilny. Topika antyczna i biblijna stanowi jego podstawową część – obejmuje formy myślowe i obrazowe, schematy i postacie, wzory wypowiedzi i wzory odpowiedzi na wyzwania kulturowe. Część toposów obumarła, część przekształciła się w stereotypy lub elementy dekoracyjne, poświadczające jedynie erudycję twórców. Wiele z nich potwierdza jednak autorytet tradycji śródziemnomorskiej i nadal sygnalizuje ciągłość i całościowość kultury i literatury europejskiej, również w obecnym stuleciu. Repertuar topiczny i tematyczny gwarantuje kulturze europejskiej – na tym właśnie poziomie – określoną spójność. Dostarcza sygnałów porozumienia piszącym i czytającym, zapewnia wspólnotę w różnorodności.

W najnowszym numerze kwartalnika Polskiej Akademii Nauk „Nauka” w artykule „Nauka w jednoczącej się Europie” profesor Henryk Samsonowicz przypomniał między wierszami, że w XVII wieku istniała idea rzeczypospolitej literackiej – wspólnoty ludzi pióra, wspólnoty intelektualnej. Przechodząc do problemów współczesności, autor stwierdził: „Wydaje się, że jest teraz szczególnie korzystna szansa na stworzenie wielkiej republiki uczących i uczonych. [...] już dziś dobrze uświadamiana jest i wprowadzana w życie stara zasada, że nauka jest [...] jedna i niepodzielna”. Na koniec czytamy: „Dla jednoczącego się świata dzisiejszego szczególne znaczenie mają studia poświęcone szeroko rozumianej kulturze”. W opinii profesora Samsonowicza literatura piękna, podobnie jak na przykład muzyka, stanowi jeden z filarów, na których wspiera się zarówno wspólnota narodowa, jak też wspólnota ludzka. Podobnie widzi rolę literatury i kultury humanista rosyjski Aleksander Lipatow, który sądzi, że „narodowe – międzynarodowe – uniwersalne, stanowią organiczne części składowe niepodzielnego świata kultury”.

Szansa na budowanie europejskiej rzeczypospolitej literackiej i kulturowej w XXI stuleciu – chroniącej tradycję i otwartej na przyszłość – nie wydaje się więc iluzją.

Dziękuję bardzo. Przepraszam, bo zdaje się, że przekroczyłam... (*Oklaski*)

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Pięknie dziękuję, Pani Profesor.

Jako drugi referent wystąpi pan profesor doktor habilitowany Jerzy Wojtczak-Szyszkowski z tematem „Antyczne wzory, postawy moralne i obywatelskie w „Kronice Polskiej” Wincentego Kadłubka. Bardzo proszę, Panie Profesorze.

**Kierownik Zakładu Języków i Literatur Klasycznych
w Instytucie Filologii Klasycznej
na Wydziale Polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim
Jerzy Wojtczak-Szyszkowski:**

Wielce Szanowni Państwo! Panie i Panowie!

„Kronika polska” to najdawniejsze dzieło historyczne, które wyszło spod pióra Polaka, sto pięćdziesiąt lat po zaistnieniu państwowości polskiej. Jak słusznie w przedmowie do najnowszego wydania przekładu tego dzieła pisze Brygida Kurbisówna, będąca jednym z najwybitniejszych badaczy polskiego średniowiecza, to właśnie ta kronika „przez całe wieki kształtowała świadomość historyczną i narodową Polaków. Śmiało można ją uznać z tego powodu za jeden z fundamentalnych pomników literatury polskiej” – koniec cytatu.

O tym, że badaczka ta nie była odosobniona w swych poglądach, świadczą liczne wypowiedzi znawców literatury tej doby, by przytoczyć na przykład zdanie Jerzego Starnawskiego, cytując: „Był Wincenty Kadłubek pisarzem, którego można związać z dwunastowiecznym renesansem, jaki rozwinął się na Zachodzie, jednym z niewielu Polaków wybitnych w tej dobie wśród pisarzy”. Aczkolwiek „Kronika” pod względem wartości historycznej nie jest jednorodna, to przecież, jak mocno podkreśla Jan Dąbrowski, „bardzo jasno – podobnie jak u Galla – występuje u Wincentego poczucie narodowe polskie. Dowodzi tego powszechność tego poczucia przynajmniej w tych warstwach społeczeństwa, w których obaj kronikarze się obracali” – koniec cytatu.

Autorka wydanej przed kilku laty, obszernej pracy traktującej o polskim średniowieczu, Teresa Michałowska, tak pisze, charakteryzując Mistrza Wincentego, cytując: „W rozważaniach na temat państwa pojawia się pojęcie – sławionej już przez Galla – ojczyzny (*patria*), a wierność jej i miłość do niej żywiona (*amor patriae*) są najwyższym prawem moralnym zarówno obywateli (*cives*), jak i rządzących” – koniec cytatu. W tym samym duchu wypowiada się o Kadłubku znany współczesny historyk polski Jerzy Kłoczowski, cytując: „Wprawdzie Wincenty żył w dobie rozbicia dzielnicowego, ale z kart jego kroniki promieniuje idea Polski jako etnicznej jedności. Jest piewcą *amor patrie*, obowiązku wobec ojczyzny i świętości, tego, co nazywa najchętniej *respublica*”. Z kolei autor artykułu w znanym polskim leksykonie hagiograficznym „Święci na każdy dzień” napisał: „Aż do Piotra Skargi nikt tak pięknie i z takim umiłowaniem nie pisał o naszej ojczyźnie” – koniec cytatu. Jeśli weźmiemy pod uwagę, jak pisze wspomniana już Brygida Kurbisówna, że dyskurs rozumowy Kadłubka nad historią jest jednocześnie wypełniony moralistyką, to nie będzie żadnych wątpliwości, że jego dzieło zasługuje na szczególną uwagę z tej racji, że należy do głęboko humanistycznych i wysoce kształcących ducha i intelekt utworów w literaturze polskiej.

Już na samym początku prologu dzieła prezentuje autor trzy postacie z historii starożytnej Grecji, które stanowią dlań przykład ilustrujący określone postawy. Postać Kodrusa, na pół legendarnego króla Aten, aczkolwiek ma pouczać o pokorze króla, nie została dobrana przypadkowo, zgodnie bowiem z podaniem to właśnie on, dowiedziawszy się o wyroczni mówiącej, że Lacedemończycy przegrają wojnę z Atenami, jeśli zabiją króla Ateńczyków, celowo, dla niepoznaki przyodział się w łachmany i udawszy się do ich obozu, prowokująco ubliżał żołnierzom, którzy go zabili. Kiedy Spartanie zorientowali się, że Kodrus zginął, sami, również wiedząc o wyroczni, odstąpili od wojny z Atenami. Aczkolwiek Wincenty nie mówi o tym epizodzie, potwierdzenie, że chodzi o eksponowanie postaci człowieka, który ofiarował swe życie za ojczyznę – z tego bowiem słynęła głównie postać Kodrusa w dziejach Grecji – znajdujemy w rozdziale 27 drugiej księgi utworu, gdzie opowieść o Kodrusie jest przytoczona *expressis verbis*, z następującym komentarzem: „Tak to bohaterski król przez ofiarę z własnego życia ocalił ojczyznę”.

Nauki moralne, czy to w formie bezpośredniego wskazania, czy to w formie aluzji, spotykamy na kartach „Kroniki” w wielkiej obfitości. Abstrahując od znanej fikcyjności pewnych treści historycznych w pierwszych partiach dzieła, trzeba podkreślić, że Kadłubek nie pomija żadnej okazji, aby snuć budujące refleksje lub wypowiedać sentencje, jeśli nawet nie zawsze zawierają one myśli oryginalne. Przywołam tu napomnienie, które wypowieda autor pod adresem ewentualnych krytyków swego dzieła w przedostatnim zdaniu prologu, cytując: „nic nas nie zachwyci, na co spojrzymy tylko mimochodem. Atoli bezprawiem jest osądzać sprawę bez dokładniejszego zbadania. Kto więc skąpi pochwał, niech będzie bardziej skąpy w ganieniu” – koniec cytatu.

Już pierwsze zdanie pierwszej księgi „Kroniki” świadczy o tym, jak bardzo mistrz Wincenty przywiązany jest do antycznych wzorów cnót obywatelskich i prawego postępowania. Słowa bowiem, cytując: „Była, była ongi cnota w tej Rzeczypospolitej”, są ewidentnym cytatem z cycerońskiej pierwszej mowy przeciwko Katylinie – *fuit, fuit, quantam in hac republica virtus*. I nie jest to jedynie retoryczny ozdobnik tej księgi, bo następna wypowiedź jednoznacznie świadczy o intencji pisarza: „którą to [Rzeczpospolitą] senatorowie niby jakoweś świeczniki niebieskie opromienili, nie zapisaniem pergaminowych kart wprawdzie, ale najświetniejszych czynów blaskiem” – koniec cytatu. Gdy zaś w następnym zdaniu mówi o książętach dziedzicznych, których dostojność świeciła dziwnym blaskiem, to nie ma wątpliwości, że w kontekście tych dwóch wypowiedzi, w dobie dzielnicowych sporów, walk i intryg, których późniejszy biskup krakowski jest autentycznym i wiarygodnym świadkiem, wyraża on w ten sposób tęsknotę za Polską mającą silną władzę królewską, budzącą respekt wśród narodów ościennych, a dzięki szlachetności jej władców – blaskiem owej dostojności świecąca.

Świetny przykład jednej z fundamentalnych cnót chrześcijańskich, jaką jest pokora, również zaczerpnął Mistrz Wincenty z podania starożytnego, o którym mówi w księdze pierwszej w rozdziale piętnastym. Przywołując z dzieła Justyna opowiadanie o Stratonie, który z niewolnika stał się królem, podnosi fakt, że dawał on przykłady niezwyklej pokory, mając bowiem wystąpić przed ludem jako król, przyodziewał się najpierw w dawne łachmany, a dopiero potem w strój królewski. Kronikarz puentuje to opowiadanie stwierdzeniem: „I tym zaiste pouczył, że króla bardziej pokora zdobi, aniżeli znacznym czyni purpura. A nawet nie można uważać za człowieka, a cóż dopiero za księcia, tego, kogo od innych nie wyróżnia pokora”. Jest oczywiste, że ani to opo-

wiadanie, ani odautorski do niego komentarz nie są przypadkowe. Przyczyną bowiem zgubnych dla kraju walk w okresie rozbicia dzielnicowego była w pierwszym rzędzie buta i pycha ówczesnych książąt i ich dziedzicznych następców – niestety, świadcząca o braku zrozumienia nie tylko podstawowych tez moralności chrześcijańskiej, ale również interesu narodowego Polski i sytuacji na arenie międzynarodowej. Rozumiał to dobrze autor „Kroniki”, który poprzez ukazywanie takich przykładów chciał przemówić do serc i umysłów ówczesnych możnowładców i skłonić ich do refleksji nad zgubnym dla całego państwa i społeczeństwa postępowaniem. Niestety, refleksja ta okazała się na tyle późna, że zaowocowała zjednoczeniem kraju dopiero dzięki Władysławowi Łokietkowi, nieomal sto lat po śmierci Wincentego Kadłubka.

Mimo że niektóre z podań przytaczanych przez historyka mają charakter legendarny, to uwagi, jakie zamieszcza na ich tle, całkowicie wspierają główny zamysł autora dzieła, chcącego przywieść do opamiętania zaślepionych żądzą władzy i majątku władców dzielnicowych. Do tego celu autor wykorzystuje, zapożyczoną być może z Justyna, wersję opowiadania o synach Orodessa, króla Partów, podkreślając wielką wartość zgody wśród rządzących, cytując: „O, jakże błogosławiona, nad braterską bratnia jest społeczność, u której bardziej liczą się więzy życzliwości, aniżeli żądza władzy przekonuje!” – koniec cytatu.

Rozwinięciem powyższych rozważań jest przykład przytoczony w piątym i szóstym rozdziale księgi drugiej dzieła. Powołując się na wydarzenia z czasów Aleksandra Macedońskiego i historii Rzymu, kronikarz mówi o istocie szlachectwa i cechach, które w jego przekonaniu winny decydować o tym, kto powinien dzierżyć władzę królewską. Podkreśla tam, że o prawdziwym szlachectwie decyduje szlachectwo duszy i czystość intencji. O tym, że swoje napomnienia kieruje do polskich książąt i pretendentów do tronu, świadczy fakt, iż konkludując te rozważania, pisze: „Próżno więc nasi wyrodni chlubią się zładą wysokiego rodu. Próżno z olbrzyma zrodzony karzełek pyszni się z wielkości olbrzyma, bo z krzaku róży i róża wyrasta, i cierń kłujący”. Nieco niżej zaś zamieszcza sentencję, którą wkłada w usta biskupa Mateusza, jednego z uczestników dialogu: „Wyznaję, że w zupełnym błędzie są ci, co złoty szlachectwa tron na łądźwiach zasadzają, nie na sercu”. Ta aż nadto przejrzysta aluzja odnosiła się niewątpliwie do potomków Bolesława Krzywoustego, walczących zawzięcie o dzielnicę i przywództwo wśród krewnych, a sięgając jeszcze dalej – do ich wielkiego protoplasty, potomka Chrobrego. Mistrz Wincenty poucza ich, że samo pochodzenie nie jest formą legitymizacji ich rządów, o którą to legitymizację winni się starać poprzez praktykowanie cnót chrześcijańskich i – używając języka współczesnego – osobistą formację.

Jakby dla dopełnienia tego wniosku pisarz umieszcza w tekście kroniki, jak to miał w zwyczaju, swój własny werset w formie przestrogi: „Szlachetny wszak ten, kogo własna uzacnia cnota”. Zapewne zamieszczanie krótkich sentencji umoralniających uznał ich autor za podsuniecie sposobu łatwiejszego ich zapamiętania i w tym szedł bez wątpliwości zarówno za formą stosowaną przez tak zwanych siedmiu mędrców greckich, jak też za manierą epigramatyków, chociażby Marcjalisa.

O tym, że historyk podkreśla zasadnicze znaczenie pokory dla kształtowania się właściwego morale każdego człowieka, co odnosi również do sprawujących władzę, zgodnie zresztą z wieloma tekstami zawartymi w Biblii, dowiedzieliśmy się już, czytając początek dzieła, jednakże w trakcie dalszej lektury przekonujemy się o tym, że wymieniona cnota miała zarówno w jego życiu, jak i w jego działalności moralizator-

skiej, widocznej na kartach „Kroniki”, fundamentalne znaczenie. Opowiadając o klęsce poniesionej przez Dariusza w walce z Aleksandrem Macedońskim tak pisze: „Wynikiem chełpliwości jest upadek. Końcem pokory jest chwała. Nie ma bowiem nic bardziej odrażającego, nic w oczach Boga brzydszego, aniżeli butna nadętość zarozumiałości, która wielu zgubiła, a niektórych zamieniła w potwory”.

Żądza bogactwa i zachłanność na dobra materialne była bez wątpienia jednym z powodów walk między książętami dzielnicowymi, gdyż wywołała u pisarza bardzo ostrą reakcję. Piętnował on tę zgubną wadę, przytaczając rozliczne jej przykłady z historii i legendarnych podań. Jedno z nich puentuje w następujący sposób: „Od chorego na umyśle tymczasem niewiele różni się ten, kto pieniądze nad życie przedkłada, a nie życie nad pieniądze”. Temu też służy opowieść o dworzaninie, który zaprowadzony do skarbcza przez króla, nieomal omdlał na widok ogromnych bogactw, a kiedy król ofiarowywał mu najcenniejsze klejnoty, on usiłował je połknąć, aby nikt oprócz niego nie mógł ich posiadać, i w ten sposób udusił się. Tuż po tym opowiadaniu następuje przykład pozytywny – opowieść o innym człowieku, który chcąc uniknąć pokusy zabiegania o coraz większy majątek, stopił posiadane przez siebie złoto i wrzucił powstałą bryłę do rzeki, mówiąc: „Przepadnijcie, nieszczęsne bogactwa! Zniszczę was, abyście wy mnie nie zniszczyły!”.

Te moralizujące opowieści, których kanwą były przekazy historyczne czy anegdoty antyczne, kierował autor do czytelników swego utworu, a byli przecież nimi dostojnicy, ludzie sprawujący wysokie urzędy na dworach książąt, duchowni odgrywający role ich doradców, wreszcie sami władcy i ludzie wysokiego stanu. Nie służyły one jedynie zabawianiu czytelnika, bo ton tych wypowiedzi jest ze wszech miar poważny, a cel niebłahy.

Przywiązanie do wolności dyktuje kronikarzowi słowa, które wkłada w usta osób, jakie pojawiają się na kartach jego historii. Na przykład w liście do Magnusa, palatyna śląskiego, znajduje się sformułowanie: „Nader nędzny jest ten, kto nie tylko uciśnionej, lecz nawet utraconej nie żałuje wolności. I nie jest synem, kto bez bólu znosi nieszczęścia zbolalej matki”.

Powściągliwość, pokora i uniżenie są w oczach Wincentego szczególnie godnymi polecenia cnotami, a ich lekceważenie piętnuje on, przytaczając przykłady skutków takiego postępowania, zaczerpnięte z dziejów starożytnych. Mówi więc o Kartalonie, synu władcy kartagińskiego, którego ojciec kazał przybić do bardzo wysokiego krzyża, bo chełpił się on swym powodzeniem wobec wygnańców.

Świetnym przykładem świadczącym o miłości Mistrza Wincentego do ojczyzny jest wypowiedź z rozdziału 27 w drugiej księdze dzieła, ilustrująca bohaterskie czyny podjęte w obronie ojczyzny: „Czego podejmujemy się z miłości ojczyzny, miłością jest, nie szaleństwem, męstwem, nie zuchwałością; bo mocna jest miłość jak śmierć, im trwożliwsza, tym śmielsza. Nic bowiem śmielej nie wzywa obywateli pod broń niż obawa przed ogólnym niebezpieczeństwem. Dlatego to Solon, zachęcając Ateńczyków, mówi: Chciałbym, abyście nie mniej byli bojaźliwi niż odważni, ponieważ bojaźń skłania do oględności, oględność rodzi ufność, a ufność daje życie odwadze, dzięki której człowiek często sam siebie w śmiałości przewyższa”.

Skoro fragment ten zawiera również odwołanie do Starego Testamentu, nie można pominąć wzorów miłości do ojczyzny zaczerpniętych z Biblii, a znajdujących się na kartach „Kroniki polskiej”. Poprzestańmy wszakże na jednym przykładzie. Cytując Księgę Machabejską I, 9, nasz autor pisze: „Cóż tedy pobudziło Machabeusza, mającego

ośmiuset mężów przeciwko dwudziestu dwom tysiącom Bakchidesa, iż zapomniawszy o sobie, pamiętał raczej o swoich ziomkach niż o własnym życiu? Miłość ojczyzny”.

Zbawienne rady i roztropność w słowach znajdują wielkie uznanie w oczach Mistrza Wincentego. Mówiąc o kaduceuszu, lasce Hermesa, jako symbolu pokoju i umiejętności perswazji, pisze: „Albowiem ci, którzy sprawy wątpliwe rozstrzygają, upadłe podnoszą, nadwątlone naprawiają – nie mniej zasługują się rodowi ludzkiemu, niż gdyby w bitwach odnosząc rany, ratowali ojczyznę i krewniaków”. Trzeba zwrócić uwagę, że słowa te pisze człowiek, który od młodych lat był w kręgu osób bliskich Kazimierzowi Sprawiedliwemu i doradzał mu w wielu sprawach, znał więc wartość zabiegów dyplomatycznych i umiejętności prowadzenia pertraktacji, jak również właściwej oceny sytuacji politycznej i społecznej. Stawianie na jednej płaszczyźnie wartości walki orężnej w obronie ojczyzny i politycznego rozsądku jest ważnym świadectwem trzeźwości sądów i głębokiego rozumienia powołania do sprawowania władzy w państwie.

Temu rozsądkowi w sprawach publicznych towarzyszyła zgodna z uduchowieniem pisarza świadomość, że człowiek jest istotą z natury swej niedoskonałą, a dążenie do doskonałości nigdy nie osiąga swego kresu na tej ziemi. Powołując się na Kallistenesa, historyka czasów Aleksandra Macedońskiego, przytacza jego odpowiedź daną uczniowi pytającemu go, kiedy można osiągnąć doskonałość. W odpowiedzi padło stwierdzenie: „Będziesz doskonały, skoro poznasz, iż tu doskonałym być nie możesz”. Ten moralizatorski ton przebija przez wszystkie księgi „Kroniki polskiej”.

Mistrz Wincenty, wskazując na cnoty, jakie należy naśladować, piętnuje też wady, jakich należy unikać. Do tego celu także służą mu przykłady zaczerpnięte ze starożytności. Gdy wspomina o Aleksandrze Macedońskim, który skazał na śmierć wiarołomnych żołnierzy pokonanego przez siebie Dariusza, mówi: „Nie godzi się bowiem, by zdrajcy z powodu zdrady cieszyli się poważaniem, i byłoby bardzo smutne i bardzo niesprawiedliwe, gdyby uszczęśliwiała ich nagroda za wiarołomstwo”. Gdy zaś ma scharakteryzować księcia Bolesława Krzywoustego, też chętnie sięga do porównań zaczerpniętych ze starożytności, pisze bowiem w ułożonym przez siebie wierszu: „Drugi to był Aleksander, drugi był Kato i Tulliusz drugi”.

Pisarz nieomal każde egzemplum zaczerpnięte z historii czy mitologii starożytnej stara się wykorzystać do wygłoszenia jakiejś nauki moralnej. Gdy w piątym rozdziale czwartej księgi swego dzieła opowiada o tym, jak Mitrydates roztropnie starał się unikać zasadzek na swoje życie, Mistrz Wincenty przechodzi do postaci Kazimierza Sprawiedliwego i pisze: „Ponieważ zaś męża silnego zaleca nie tyle siła cielesna, ile nieskazitelność ducha, Kazimierz nie mniej usiłuje pokonać potwory w duszy, jak dzikie leśne zwierzęta”. Po chwili zaś następuje opowiadanie o tym, jak Kazimierz wspaniałomyślnie daruje życie komuś, kto po przegranej z nim w kości uderzył go w twarz. Towarzyszy temu zresztą obszerny wywód na temat wielkoduszności, jaka powinna charakteryzować księcia. Barwną, poruszającą i mającą głęboki sens opowieść o roztropności, która kieruje wszystkimi cnotami, kończy Mistrz Wincenty wskazaniem moralnym: „Roztropny zbiera owoce we własnym sumieniu, mniej doskonały w okazywaniu ich na zewnątrz. Stąd mówi Święty Hieronim: Nic prostszego nad roztropność, nic roztropniejszego nad prostotę”.

Zupełnie oddzielną kwestią, która nie jest zasadniczo przedmiotem naszego rozważania, ale o której wspomnieć należy, jest posługiwanie się przez naszego historyka tekstami prawa rzymskiego, które też często stają się okazją do wygłaszania budujących sentencji. Chcąc na przykład ukazać wielkoduszność Kazimierza Sprawie-

dliwego, z którym łączyły go więzy długoletniej przyjaźni, przywołuje aż trzy egzempli z historii starożytnej, ilustrujące wspaniałomyślność Pyrrusa, Aleksandra Macedońskiego i Heraklejczyków. Każdy bezstronny czytelnik dzieła przyzna, że ich zamieszczenie w tekście „Kroniki” nie było przypadkowe: przystępując do jej napisania, autor miał bowiem na celu nie tylko zebranie i podanie do wiadomości sobie współczesnych i potomnych tego, co o dotychczasowych dziejach Polski zdołał się dowiedzieć i co uznał za godne zamieszczenia w swym utworze. Jest oczywiste, że zamierzeniu temu przyświecał również inny cel, który niezwykle ceniał późniejszy hierarcha polski, a mianowicie zaprowadzenie ładu moralnego w skołatanym wojnami domowymi, wyniszczonym materialnie i nadwątlonym duchowo społeczeństwie polskim, które na skutek wad książąt i możnowładców boleśnie doświadczało wewnętrznego i zewnętrznego rozdarcia i innych negatywnych skutków rozbicia dzielnicowego. Z wygłoszanych przez Mistrza Wincentego nauk wynika jednoznacznie, że właśnie w piętnowanych przez niego wadach i przywarach ówczesnych elit władzy dostrzegał on przyczynę klęsk i niepowodzeń Polski, zarówno na tle militarnym, jak i społecznym.

Baczny obserwator życia politycznego, patriota głęboko miłujący ojczyznę, jako człowiek rozumny, mający perspektywę historyczną, nie mógł pozostać obojętny na zło, które widział w porażonych nim umysłach i duszach ludzi walczących o władzę, wpływy i majątek, nierzadko kupczących polską ziemią władców i arystokracji. Prawe sumienie kazało mu kierować napomnienia i pouczenia do zepsutych sumień swych współobywateli, a miłość ojczyzny nie pozwalała na kompromisy, który mogły mu zaskarbić szybkie awanse i majątek.

Już kończę, jeszcze tylko jedno zdanie.

Jak bardzo ich nie ceniał, wskazuje fakt, że sam zrezygnował z biskupstwa krakowskiego i wybrał życie mnicha w jędrzejowskim klasztorze. Nie był więc Mistrz Wincenty zakładnikiem koniunktury i względów wielmożnych. A kiedy dziś trzeba nam tym skwapliwiej sięgać do początków naszych dziejów, by uwiarygodnić naszą obecność wśród narodów Europy i naszą kulturę, jest dzieło jego wskazaniem, jak mamy miłować nasz dom ojczysty i jak chronić dobra, które są depozytem naszego ducha narodowego i naszej historii. Dziękuję bardzo. (*Oklaski*)

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Dziękuję bardzo, Panie Profesorze.

Tak oto myśli Kadłubkowe zabrzmiały całkiem, całkiem współcześnie.

Szanowni Państwo, teraz „Przysłowia i słowa skrzydlate w kulturze polskiej”, czyli wykład pana doktora Krzysztofa Mrowcewicza.

Bardzo serdecznie proszę.

Doktor w Pracowni Literatury Renesansu i Baroku w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk Krzysztof Mrowcewicz:

Temat jest niezwykle obszerny, dlatego wybaczą państwo kalejdoskopowe skróty, których będę musiał dokonywać, by zmieścić się w wyznaczonym mi czasie.

Na początku kultury śródziemnomorskiej był Homer i jego magia skrzydlatych słów. To – by użyć pięknej i sugestywnej formuły w przekładzie Jana Parandowskiego

– co „wymyka się z za zagrody ludzkich zębów”, szybkuje swobodnie w czasie i przestrzeni i może pewnie trafiać do upatrzonego celu „Jako sokół wśród gór, najściślejszy z rzeszy skrzydlatej, / Na gołębicę skalną strwożoną szybko uderza”, by znów powrócić do rozlewnej, niespiesznej Homerowej frazy. Oto w gruncie rzeczy najstarszy opis aktu komunikacji: skrzydlate słowo to słowo celne, oczekujące na zrozumienie słuchacza, często wzbudzające emocje, cierpienie czy oburzenie.

Formuła Homera pojawia się, jak to obliczyli badacze, czterdzieści sześć razy w „Iliadzie” i pięćdziesiąt osiem razy w „Odysei”. Sama w najgłębszym sensie skrzydlata, w XIX wieku posłużyła za tytuł zbioru niemieckich cytatów i powiedzeń, pracowicie przygotowanego przez Georga Buchmanna, niemieckiego filologa klasycznego. Buchmann skorzystał z Homerowej przenośni, by objąć ogromny i wielce różnorodny zbiór utrwalonych w tradycji powiedzeń, zwrotów i formuł, określanych w starożytności wieloma terminami: proverbium, maksyma, sentencja, gnom, apoftegmat, egzemplum, adagium. Próby precyzyjniejszych rozróżnień są w tym przypadku dosyć zawodne.

Wedle Tadeusza Sinki, pioniera badań nad polskimi przysłowiami, zwroty przysłowiowe tym różnią się od zwykłych powiedzeń, że wprowadzają do wypowiedzi dodatkową, przenośną treść. W ten sposób jednak przysłowie zbliża się, jeśli nie utożsamia, z maksymą czy sentencją. Jan Bystron, autor klasycznej pracy „Przysłowia polskie”, definiuje przysłowie jako zespół wyrazów o najrozmaitszej formie i treści, powtarzany tradycyjnie. Dodaje ponadto, że takich sformułowań nie da się wyróżnić wśród tworów językowych, stylistycznych czy literackich na drodze teoretycznej, choć podejmuje zarazem próbę określenia cech formalnych i artystycznych przysłowia, takich jak rym, komizm czy gra słów. Wiele spośród tych atrybutów zwrotów przysłowiowych znajdujemy jednak także w maksymach, gnomach i sentencjach.

Podobnie mało przekonujące są definicje Juliana Krzyżanowskiego, który pisał, że przysłowie wyróżniają cechy formalne, znaczeniowe i funkcyjne. Od strony formy byłoby to więc zdanie, często rymowane, zawierające jakiś obraz. Od strony treści przysłowia wyróżnia dwupoziomowość znaczenia – znaczenie dosłowne i przenośne – co sprawia, że mogą ono pełnić wiele funkcji i być stosowane w różnych sytuacjach życiowych.

Podobny chaos definicyjny występuje też w źródłach starożytnych. Arystoteles określa niektóre przysłowia mianem bądź sentencji, bądź też utożsamia je z przenośniami – w takim sensie, że przysłowia są przenośniami z jednego gatunku na drugi – lub apoftegmami. Z kolei wedle Cyserona rolę przysłowia może odgrywać zarówno przezwisko, jak i codzienne lub poetyckie powiedzenie czy przenośnia albo sentencja.

Również słynna renesansowa definicja Erazma z Rotterdamu też nie rozwiązuje problemu. Według tego znakomitego humanisty, „przysłowie jest znanym powiedzeniem, odznaczającym się jakąś subtelną nowością”. W jego „Adagiach” z 1508 r. mamy więc obok siebie: zwroty odczuwane jako przysłowiowe, na przykład „Co psu do łaźni”, „Mądry głupiec po szkodzie”; pojęcia, na przykład „synkretyzm”; imiona, na przykład „Esernius z Pacydianem”; zestawienia wyrazów, na przykład „Syleny Alcibiadesa”, a nawet bajki, między innymi „Wół w mieście” i „Skarabeusz szuka orła”.

Przy próbach odróżnienia przysłowia od innych, podobnych zwrotów językowych zawodzi także kryterium pochodzenia. Mówiąc, że przysłowia są mądrością narodu, sugerujemy jakby ich rodzime, ludowe pochodzenie. Niestety, po bliższym zbadaniu materiału okazuje się, że bardzo wiele przysłów wywodzi się na przykład z literatury, w tym także obcej. Na przykład przysłowie „Kuj żelazo, póki gorące” czy

„Lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu” to adaptacje znanych powiedzeń łacińskich. Takie przykłady można zresztą mnożyć w różnych językach.

Poruszając się więc po terenie skrzydlatych słów, skazani jesteśmy na pewną nieprecyzyjność i powrót do źródeł. Oto już starożytni, którym zawdzięczamy zresztą skrzydlatą frazę *Verba volans, scripta manet*, zauważyli, że tylko niektórym słowom dany jest prawdziwy lot, innym zaś przypada zaledwie krótka chwila istnienia, podrzędna w gruncie rzeczy funkcja przekazywania informacji lub snucia opowieści. To opowieść przecież trwa – słowa znikają. Ludzie znają historię Homerowego Ilionu, nie pamiętają zaś słów poety.

Ale niektóre spośród tych słów mimo wszystko przetrwały i odcisnęły się głęboko w pamięci Europejczyków. Co zapewniło im trwałość? Trudno odpowiedzieć na to pytanie w sposób jednoznaczny. Autorzy antycznych podręczników wymowy, mistrzowie retoryki, zauważyli jednak, że niektóre zestawienia wyrazów, pojęcia czy symboliczne imiona mają nie tylko dar sugestywnego oddziaływania, ale i trwania w zbiorowej pamięci. Takie sformułowania miały być ważnym elementem retorycznej inwencji, czyli etapu pracy nad mową czy tekstem, obejmującego gromadzenie materiału. Przynosiły bowiem myśli utrwalone w tradycji, oparte często na autorytecie, odwołujące się do schematów ludzkiego myślenia. W Grecji nazywano je *topoi koinoi* w Rzymie zaś *loci communes*, czyli po prostu miejsca wspólne – wspólne dla ludzkiego umysłu i ludzkiej kultury. Przez stulecia ten ogromny magazyn, nazywany przez Cycerona *sedes argumentorum*, wypełniał się kolejnymi sformułowaniami, które odgrywały ogromną rolę w europejskim systemie edukacyjnym. Były one bowiem wykorzystywane nie tylko jako źródło skutecznych argumentów, ponieważ odwoływały się do prawd powszechnie przyjętych lub opartych na autorytecie, ale także jako ozdoba mowy i prezentacja erudycji mówiącego.

W wiekach średnich obok materiału grecko-rzymskiego pojawiają się przysłowia i powiedzenia pochodzące z Biblii. Nie znaczy to jednak, że klasyczne gnomy i sentencje zostają zapomniane. Ich używanie zalecają różne podręczniki wymowy, typu „*Artes dictamini*”, „*Artes dictandi*”, „*Artes praedicandi*” czy „*Artes sermonandi*”. Średniowieczni uczeni korzystają przy tym z ogromnych czasem zbiorów różnych powiedzeń i przysłów, noszących znaczące tytuły, na przykład „*Manipuli florum*”, „*Specula exemplorum*”, „*Vocabulari praedicatorum*” albo „*Flores poetarum*”. Już wówczas sporządzano prawdziwe słowniki skrzydlatych słów, zwykle komponowane w układzie tematycznym.

Jednolitość systemu edukacyjnego średniowiecza sprzyjała powstawaniu intelektualnej wspólnoty, którą poświadczało odwoływanie się do wspólnego magazynu przysłów, maksym i sentencji. Ta wspólnota, oparta na posługiwaniu się zrozumiałymi dla wszystkich Europejczyków zwrotami, przetrwała zresztą bardzo długo, bo aż do połowy XIX wieku, czy to w formie obowiązkowego przedmiotu w obrębie uniwersyteckiego wykładu *artes liberales* na poziomie *trivium*, czy to retoryki w kolegiach jezuickich, czy wreszcie dyscypliny zwanej w szkołach dziewiętnastowiecznych poezją i wymową. Jej apogeum stanowił oczywiście renesans, oparty na kulcie starożytności i czerpiący z bogatych zasobów antycznej kultury śródziemnomorskiej. Wtedy to powstają klasyczne zbiory skrzydlatych słów, których ukoronowaniem są słynne „*Adagia*” Erazma z Rotterdamu, przynoszące Europie złoto klasycznego intelektu, by użyć sformułowania Johanna Huizingi.

Gdy do Polski dotarły instytucje chrześcijańskiej Europy – kościoły, szkoły przyklasztorne, a potem uniwersytety – skrzydlate słowa pojawiły się także pod naszym niebem. Dla kronikarzy i żywotopisarzy stanowiły one źródło pouczających przykładów – egzemplów, opartych przy tym na autorytecie, tej najwyższej instancji średniowiecznej kultury, lub też służyły *ornatus*, ozdobie wymowy.

Wielkiego materiału dostarcza pod tym względem „Kronika polska” Mistrza Wincentego Kadłubka. Badacze doliczyli się w niej osiemdziesięciu siedmiu przywołań z Pisma Świętego, wśród których przeważają zwroty przysłowiowe, na przykład „miłość mocna jak śmierć”, „wierzganie przeciwko ościeniowi”, „sprawiedliwy żyje z wiary”. Co zaskakujące, doliczono się dużo większej liczby sentencji autorów klasycznych, takich jak Cyceeron, Horacy, Boecjusz, Kwintylijan, Lukan, Owidiusz, Persjusz, Pliniusz, Plutarch, Seneka, Wergiliusz, by wymienić tylko najważniejszych. Nie brakuje też motywów bajkowych, na przykład o wilkach i pasterzach, o gryfie i lisie, okiełbiach, wielorybie i szczupaku. Z niezbyt przecież obszernej Kadłubkowej kroniki współczesna badaczka Brygida Kurbis wydobyła kilkaset sentencjonalnych zwrotów, w tym w większości o proveniencji antycznej, na przykład „Pogięte drzewa łatwiej złamać niż naprostować”, „Chwałą władców jest taić słowo”, „A gdy lud się oddali, czym będzie król”.

Przysłowia i motywy z antycznych bajek wypełniają też jedną z pierwszych polskich drukowanych książek – „Żywot Ezopa Fryga” Biernata z Lublina, podobnie jak dziełko krakowskiego mistrza Jana z Koszyczek „Rozmowy, które miał król Salomon mądry z Marchołem grubym a sprośnym”. Aż roi się od przysłów w tekstach Mikołaja Reja, a z różnych maksym i sentencji antycznych korzysta również chętnie Jan Kochanowski.

Ciekawe jest jednak, że polska paremiografia oraz paremiologia, nie licząc małej książeczki „Oratiuncule variae”, która ukazała się w Krakowie w roku 1527, zaczyna się bujnie rozwijać dopiero w epoce baroku. Wiąże się to zapewne z kilkoma ważnymi zmianami, które zaszły w kulturze tej epoki.

Po pierwsze na fali kontrreformacji zaczynają się dyskusje o miejscu kultury klasycznej w nowej chrześcijańskiej Europie. Obok głosów skrajnych, że bagaż antycznej, a więc przede wszystkim pogańskiej erudycji należy odrzucić jako moralnie podejrzany, zostaje wówczas sformułowana nowa teoria, która wyszła z kręgów jezuitów: mądrość pogańska może być wprzęgnięta w służbę chrześcijaństwu, a motywy pogańskie należy zastosować w celu propagandy wiary. O ile więc pisarze średniowieczni widzieli w literaturze antycznej przede wszystkim wzór stylistyczny oraz autorytety, na których mogli się opierać, a twórcy renesansowi sięgali do magazynu antycznych motywów, skrzydlatych słów i sentencji z klasyczną świadomością stosowności, to twórcy baroku czerpią ze skarbcza starożytnych powiedzeń i zwrotów przysłowiowych w sposób zupełnie dowolny, korzystają z nich całkowicie arbitralnie. W naszej kulturze swoistym manifestem tej postawy jest słynny traktat jezuita Macieja Kazimierza Sarbiewskiego „Dii gentium” – praktyczny wykład, jak zastosować pogańską mitologię w chrześcijańskim świecie.

Po drugie, zmieniają się zdecydowanie gusta estetyczne. W miejsce typowego dla renesansu dążenia do klasycznej prostoty i jasności, pojawia się tendencja do wypowiedzi maksymalnie zwężonych, gnomicznych, kult stylu zwartego, gęstego, trudnego. Odwołując się do antycznych symboli, można powiedzieć, że proste, jasne okresy Cyceerona zostają zastąpione skomplikowanymi, zwężłymi, sentencjonalnymi frazami Tacyta. Dotyczy to w szczególności nurtu manierystycznego literatury XVII stulecia.

Kult przysłowia nie omija też stylu barokowego, ponieważ to, co trudne, erudycyjne, niezwykle, ceni się wówczas wyżej niż prostotę klasycyzmu. Wedle znanej formuły hiszpańskiego pisarza i erudyty Baltazara Gracjana, prawda jest tym piękniejsza, im trudniejsza. To zamiłowanie do trudności wpływa też na wybór sentencji, przysłów i maksym, do których odwołują się ówczesni pisarze, oraz na sposoby ich przywoływania. W modzie są więc sentencje mniej znane, wymagające dużej erudycji, a ich stosowanie polega często na polemicznym, przewrotnym, ukrytym cytacie. Język nasycony różnymi formami skrzydlatych słów zaczyna przypominać labirynt, przez który może przejść tylko czytelnik elitarny, dostrzegający różne aluzje, niuanse i odcienie sztuki wymowy uwikłanej w różne gry intertekstualne.

Dobrym przykładem może być w tym wypadku twórczość Daniela Naborowskiego, czołowego przedstawiciela manieryzmu w literaturze polskiej. Naborowski, prawdziwy europejski intelektualista, student z Wittembergi, Bazylei, Orleanu, Strasburga, prywatny uczeń Galileusza, siedemnastowieczny poliglota, spędził większą część swojego życia w nieustannych podróżach dyplomatycznych, podejmowanych z polecenia książąt Janusza i Krzysztofa II Radziwiłłów. Swoje teksty, oparte na znakomitej znajomości literatury staro- i nowożytnej, polskiej i obcej, nasycił licznymi aluzjami, tworzącymi swoisty ukryty kod, dostępny jedynie podobnym do niego intelektualistom. Kluczem do tego kodu były zwroty przysłowiowe, skrzydlate słowa, motywy bajkowe oraz mitologiczne. Umożliwiały mu one swoistą grę z nie zawsze lojalnym mecenasem oraz dialog z intelektualnymi partnerami, których nie brakowało w radziwiłłowskim kręgu.

Należał do nich z pewnością Salomon Rysiński, pierwszy polski paremiograf i paremiolog, autor książeczki „*Proverbiorum polonicorum a Salomone Rysinio collectorum centuria decem et octo*”. Świadectwem dużej popularności tego dziełka było rychłe wznowienie jego edycji, tym razem pod polskim tytułem „Przypowieści polskie”. Za protestantem Rysińskim poszedł jezuicki paremiograf Grzegorz Knapski, autor monumentalnego, liczącego tysiąc czterysta stron dzieła „*Thesaurus polono-latino-graecus*”, które w latach 1621–1793 doczekało się aż trzydziestu pięciu wydań.

W drugiej połowie stulecia, w roku 1658, ukazują się jeszcze „Przysłowia mów potocznych” Andrzeja Maksymiliana Fredry – do pokrewieństwa z tym zapomnianym autorem przyznawał się słynny komediopisarz, wykorzystując zresztą cytaty z jego dzieła jako motta do niektórych komedii – a paremiografię polską tej epoki zamyka ogromny rękopiśmienny zbiór wierszy Wacława Potockiego „*Moralia*”. Sarmacki poeta rozwinął w tej księdze w formie wierszy słynny zbiór „*Adagia*” Erazma z Rotterdamu.

Ale wróćmy do Naborowskiego. Poeta, uwikłany w układ klientalny z Radziwiłłami, musiał poddać się konwencjom nierównej przyjaźni. W tych konwencjach mieściła się zarówno świadomość własnej podległości, jak i wiedza o tym, co wolno, a czego nie wolno służyć, mimo pozorów równości i przyjaźni. Najciekawsza pod tym względem jest wciąż jeszcze niezbadana korespondencja poety, nieraz przyjmująca formę wierszowaną.

Szczególnie aktywny był Naborowski na początku lat trzydziestych XVII wieku. W nieustannych podróżach do Warszawy, Wrocławia, Teisingi, Drezna, Berlina, Węgrowa i Słucka nie zapominał o twórczości. Powstały wówczas słynne przekłady z Petrarke i Du Bartasa, a także wiersze do królewicza Władysława oraz garść świetnych utworów okolicznościowych.

Ruchliwe życie klóciło się jednak wciąż ze stałą, rzec by można, nieruchomą precyzją talentu Naborowskiego. A może to tylko złudzenie i gorączkowe obroty ciała, którego losem było nieustanne wędrowanie, wspierały obrotny umysł, ruchliwy i nie-dbale zręczny dowcip poety? Przecież wschody i zachody słońca, takie same w Wilnie, Warszawie, Wrocławiu, Dreźnie czy Paryżu uczyły, że całe universum skazane jest na ruch, a cóż dopiero człowiek – „Cóż człowiek, jeśli nieba swą odmianę mają?”. A może poeta chciał naśladować ruchliwą naturę świata i celowo wybrał żywot nomady, niewygody i przygody podróży?

„Niejednej jedna bywa godzina pogody,
A my swój wiek prowadzić chcemy bez przygody?”

Zgrabnymi konceptami nie zastąpi się jednak miękkiego łóżka, spokojnego kąta i ciepłego pieca. Oj, doskwierał wędrowny żywot Naborowskiemu, doskwierał. Albo to był młodzieńcem, co nie tęsknił jeszcze do gniazda swojego? Nie, miał już wówczas pięćdziesiąt siedem lat.

W liście do księcia Janusza Radziwiłła ze Słucka czytamy takie wyznanie:

„Ja natenczas jako żółw z chodzącej chałupy
Patrzam, ano mię orzeł, chcąc twarde skorupy
O skałę rozbić, coraz porywa do góry,
Bo mięsa nie pożyje, nie zewłokszy skóry.
Bym tylko miasto skały na Petra łysego
Nie spadł, jak na onego w polu siedzącego”.

Karkołomne porównanie! Naborowski – żółw! Chyba że taki, który wedle zręcznego paradoksu Zenona prześcignie Achillesea. Dwa tygodnie wystarczały mu na przykład na podróż z Warszawy do Saksonii. Ale dom, tak jak nomada, rzeczywiście dźwigał poeta ze sobą. Nie mógł tylko żadną miarą zabierać w drogę biblioteki – musiało mu ją zastąpić ruchliwe *ingenium*, wyciągające z zakamarków *thesaurusa* pamięci zakurzone klejnoty. W tym wypadku była to bajka Ezopowa o żółwiu i orle, wykorzystana – zgodnie ze zwyczajem epoki – w kapryśny i zgoła niezgodny z jej morałem sposób: „Kiedy żółw zobaczył orła unoszącego się w powietrzu, również zapragnął latać. Przyszedł więc do orła i zapytał, za jaką cenę mógłby go tego nauczyć. Ten odpowiedział, że jest to niemożliwe, ale kiedy żółw nalegał i prosił, orzeł uniósł go wysoko i puścił na skałę, gdzie żółw się roztrzaskał”.

W wierszu Naborowskiego następuje – co widać od razu – całkowita zamiana ról. Żółw nie chce wcale ujarzmić obcego mu żywiołu powietrza i nie zanudza dostojnego orła bezczelnymi i głupimi prośbami. Tu orzeł jest drapieżką, który ma ochotę pożreć nieszczęsnego domonośćę. Jeśli poeta – na co chyba się zgodzimy – jest owym przyziemnym żółwiem, to kto ukrywa się pod lotną figurą orła? Nie popełnimy chyba błędu, domyślając się, że chodzi tu o patrona Naborowskiego, księcia Krzysztofa, który tak chętnie wykorzystywał niemłodego już sługę w licznych i niezbyt jasnych europejskich misjach. Jego syn, Janusz, jest wszak „młodym orlikiem”, co jest chyba nie tylko „pierzastym” komplementem, ale i aluzją do rodowego herbu – orła o trzech trąbach.

Skarżył się więc poeta do syna na ojca, ale i synowi sprawiedliwie też się coś dostało. Poetycki list zaczyna się przecież od bezczelnego w swym lizusostwie komplementu. Janusz jest „Apollinem złotym”, przy którym poeta nie śmie śpiewać, jak „gąsior między łabędziami”. To znów z Ezopa: łabędzie trzyma się wszak do śpiewu, a gęsi – na stół. Gąsior i żółw? Najwyraźniej czuł się Naborowski ofiarą możnych, ale

– co ciekawe – pozwalał sobie na takie aluzje chyba tylko w wierszach. W zwykłych listach do księcia Krzysztofa znajdujemy w tym okresie tylko przenikliwość obserwatora i czolobitność dworaka.

Niemniej zjadliwe jest zakończenie tego wierszowanego listu. Za nieznaną nam bliżej „komickie rymy” księcia Janusza płacono gotowizną w złocie. Naborowski długo i haniebnie musiał się dopraszać i przymawiać o wynagrodzenie za swoją służbę. Dlatego hołd złożony Januszowi jest mocno dwuznaczny:

„Ja też, książę, jakom rzekł, daję-ć hołd ubogi:
Białe z czarnym, strzyżone z golonym pod nogi,
Piskorz i grosz nie z groszem, przy nich biała zbroja
Zawieszona niech będzie u twego podwoja”.

Tu z pomocą przyszedł poecie zmarły przed kilku laty przyjaciel Salomon Rysiński. Zbiór Rysińskiego zaczyna się bowiem takim oto powiedzeniem: „A biało? Biało. A czarno? Czarno”. Dobry sługa – a taką maskę przybiera Naborowski – mimo bezwzględności patronów, musi potakiwać. Na czarne powie „białe”, a na białe – „czarne”, jeśli chce tego pan. Taki sam, świadomie oportunistyczny sens ma drugie przysłowie z pierwszej centurii „Przypowieści” Rysińskiego, ujęte w podobną dialogową formę: „A golono? Golono. A strzyżono? Strzyżono”.

Element polemiczny wprowadza trzeci zwrot: „piskorz i grosz nie z groszem”. Słynny paremiograf Adalberg zapisuje, za Rysińskim zresztą, taki dialog: „Książd do klechy: Atoż tak: tobie piskorz, a mnie węgorz. Albo tak: mnie węgorz, a tobie piskorz. A klecha na to: A mnie przecie piskorz”. Przysłowie wykorzystuje „śliską”, rybią ekwiwokację piskorza. Z jednej strony jest to bowiem marna ryba, z drugiej – po prostu synonim nędzy. Albo książd, czyli tutaj Radziwiłł, miał na swoim talerzu węgorza, a klecha, czyli Naborowski, piskorza, albo Naborowski jako klecha miał piskorza, a Radziwiłł jako książd – węgorza. I tak zawsze słudze przypada goła, bezłuska nędza, a panu – grosz, czyli węgorz.

Ale sługa nie jest całkiem bezbronny. Może drwić przesadnym pochlebstwem, pisząc „Apollinie złoty!” i zwyczajnie, bezczelnie kłamać. Do tego nawiązuje kolejny przysłowiowy zwrot użyty przez Naborowskiego: „przy nich biała zbroja / Zawieszona niech będzie u twego podwoja”. Ową białą zbroję znajdujemy także u Rysińskiego: „A w tymem się ocknął, ano już dzień, wszyscy w białej zbroi”. Dzięki komentarzom wiemy, że używano tego powiedzenia, jakoby pochodzącego z greki, w sytuacji „gdy kto łąże i zmyśla”. Ciekawe, czy książd Janusz potrafił odczytać tę strategię wymówek-przymówek i skarg-oskarżeń starego sługi.

W liście Naborowskiego zagadkowo brzmi też fraza: „Jak na onego w polu siedzącego”. Czyżby – aż nie śmiem przypuszczać – była to pogrożka? U Rysińskiego czytamy bowiem: „Kamień rzucony ku górze wraca się na głowę rzucającego”. Czyli żółw, przecząc prawom fizyki i dobremu dworskiemu obyczajowi, spaść może na pięknie upierzoną, choć małą orlą głowę. A może Naborowski znał po prostu legendę o tragicznej śmierci wielkiego poety Ajschylosa, którą opowiedział choćby Montaigne: „Ajschylos, mając przepowiedzianą śmierć od zaważenia się domu, daremnie ma się na bacności: oto ginie ugodzony domem żółwia, jego skorupą, która wymknęła się ze szponów orla w powietrzu”.

Jak widać, Naborowski za pomocą kodu skrzydlatych słów i zręcznych aluzji broni swojej wolności, buntuje się przeciwko patronowi, rozmawia z elitarnym czytel-

nikiem, który znajduje przyjemność w deszyfrowaniu tego tekstu. Przysłowia nadają jego utworom zarówno charakter literackich zagadek, jak i erudycyjnego popisu. Stosuje je poeta często przewrotnie i polemicznie, nie wahając się przy tym zmieniać lub modyfikować ich znaczenia.

Nie sposób w ramach tak krótkiego szkicu prześledzić roli przysłów i słów skrzydlatych w następnych epokach. Dodać jednak należy, że ukoronowaniem paremiografii polskiej było wydane u schyłku XIX wieku dzieło wspomnianego już Samuela Adalberga „Księga przysłów, przypowieści i wyrażen przysłowiowych polskich”, na ponad siedmiuset stronach zbierające *corpus* przysłów polskich.

A jaką rolę odgrywają skrzydlate słowa i przysłowia w naszej epoce? Z jednej strony, wraz z zanikiem znajomości łaciny i zmianą modelu wykształcenia – likwidacją klasycznych gimnazjów i liceów, odejście od nauczania erudycyjnego – w dużej mierze albo uległy zapomnieniu, albo nie są już dzisiaj w pełni zrozumiałe. Z drugiej zaś strony, w związku z przemianami kulturowymi i politycznymi, wzrostem roli telewizji i radia oraz żywego słowa w kulturze, rozwojem mechanizmów demokratycznych, wymagających sprawności językowej i autentycznych umiejętności perswazyjnych, następuje odnowa zainteresowania retoryką, jako gotowym narzędziem ułatwiającym poruszanie się w przestrzeni publicznej czy obywatelskiej. W związku z tym obserwujemy swego rodzaju renesans retorycznego magazynu argumentów, miejsc wspólnych kultury europejskiej. Pojawiają się kolejne serie polskich „Skrzydlatych słów” Henryka Markiewicza i Andrzeja Romanowskiego, nowe edycje „Thesaurusa łacińskich sentencji, przysłów i powiedzeń w literaturze polskiej” Mirosława Korolki, liczne wybory antycznych złotych myśli czy też księgi cytatów.

Magia skrzydlatych słów wcale nie należy więc tylko do przeszłości. Nie pora mówić o *verborum vetus aetas*. Jeśli w cenie będzie mądrość i wspólne wszystkim Europejczykom wartości, zawsze znajdzie się miejsce dla słów skrzydlatych, byleby tylko za słowami szły czyny, bo jak mawiali starożytni, *verba docent, exempla trahunt*. Dziękuję bardzo. (*Oklaski*)

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Bardzo pięknie dziękuję. Tak przy okazji, Panie Doktorze, nasza mnie taka myśl, by samego siebie zapytać, do jakich to skrzydlatych słów będziemy w przyszłości zaliczać język esemesów. (*Wesołość na sali*) To zupełnie nowa literatura.

Szanowni Państwo, pan profesor doktor Stanisław Mossakowski poprosił mnie o udzielenie mu głosu na pięć minut. Myślę, że dla oddechu udzielimy panu profesorowi głosu, ponieważ pan profesor będzie musiał nas opuścić. Po wystąpieniu pana profesora wysłuchamy ostatniego referatu.

Bardzo proszę.

Kierownik Zakładu Historii Sztuk Plastycznych w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk Stanisław Mossakowski:

Panie Przewodniczący! Szanowni Państwo!

Chciałbym nawiązać do wypowiedzi pana senatora Sławińskiego, który zwrócił uwagę, że znajomość dziedzictwa antycznego jest czymś w rodzaju wiedzy o naszej

przeszłości i naszych korzeniach. Pani profesor Sarnowska-Temeriusz przypomniała nam o trwałości antycznej topiki literackiej, pan profesor Wojtczak mówił o aktualności starożytnego moralitetu, jakim jest między innymi „Kronika” Kadłubka, a pan doktor Mrowcewicz mówił przed chwilą o przysłowiach antycznych i sentencjach, również nawiązując do tej aktualności. Ja chcę zwrócić uwagę na to, że nasze dziedzictwo antyczne, nasze korzenie tkwiące w antyku, są znacznie, znacznie bardziej rozbudowane.

Podam przykład. Pani profesor Sarnowska przeciwstawiła humanistyczną jedność kultury współczesnej twórczej niezgodzie. Przypominam, że to również jest motyw antyczny: *harmonia est discordia concors* – harmonia to zgodna niezgoda. To jeszcze głębiej sięga antyku, niż nam się wydaje.

Chcę powiedzieć, że większość tego, co nam się wydaje oczywiste, wywodzi się z antyku. Dotyczy to wspólnoty sposobu myślenia Europejczyków. Przykłady: prawo własności – bez prawa rzymskiego nie byłoby w ogóle tej koncepcji; demokracja – Grecja; chrześcijańska hierarchia wartości, podstawowe problemy filozoficzne poznania bytu – wszystko to bierze się z antyku.

I jeszcze jeden przykład, ostatni, przy którym chciałbym się zatrzymać, bo jest szczególnie ważny. Proszę państwa, to że my nie widzimy albo nie chcemy widzieć wszystkiego w kategoriach „albo, albo”, nie zgadzamy się na myślenie kategoriami „białe albo czarne”, „dobre albo złe”, „prawdziwe albo nieprawdziwe”, bierze się ze znakomitego łacińskiego *dubio* – z niepewności, z niewiary w istnienie jednej jedynej prawdy, jednej jedynej drogi. To, że wąpimy, że nie jesteśmy przekonani o posiadaniu monopolu na prawdę, na najlepsze rozwiązania, jedyną słuszość, jest podstawą szacunku jednego z nas do drugiego, do ludzi o odmiennych poglądach, czyli jest podstawą dialogu, a zatem podstawą demokracji.

Jaki z tego morał? Proszę państwa, dziedzictwo antyczne jest tym czynnikiem, który w ogóle umożliwia myślenie, działanie i tworzenie jedności Europy. Moja teza jest taka, że bez tego dziedzictwa Unia Europejska w ogóle nie byłaby możliwa. Dziękuję. (*Oklaski*)

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Bardzo dziękuję, Panie Profesorze. Bardzo dziękuję. To ostatnie stwierdzenie jest szczególnie ważne.

Szanowni Państwo, w ten sposób dobrnęliśmy do ostatniego referatu, który wygłosi pan profesor doktor habilitowany Jan Tomkowski. Pan profesor opowie nam o współczesnym dialogu z tradycją antyczną. Potem ogłosimy przerwę.

Bardzo proszę, Panie Profesorze.

Profesor w Pracowni Literatury XX Wieku w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk Jan Tomkowski:

Proszę państwa, bohaterami mojego wystąpienia będą dwaj wybitni polscy pisarze emigracyjni: Jerzy Stempowski i Józef Wittlin. Ale na wstępie kilka słów o gatunku, który będzie mnie interesował, to znaczy o esej.

Tak jak inne powszechnie uprawiane gatunki literackie – powieść, wiersz czy poemat, również esej nie doczekał się zadowalającej badaczy definicji. W odróżnieniu

od większości form lirycznych czy narracyjnych ma natomiast dość wyraźnie zarysowaną historię. Specjaliści przyjmują bowiem zgodnie, że pierwszym eseistą był francuski pisarz renesansowy Michel Montaigne. To właśnie jego książce zawdzięcza swą nazwę interesujący nas gatunek.

Jakkolwiek w wiekach XVIII i XIX spotkamy eseistów uważanych dziś za prawdziwych klasyków prozy, to jednak epoką wielkiego rozkwitu twórczości eseistycznej okazał się w większości krajów wiek XX. Nasuwałoby się więc podejrzenie, że kariera eseju może wiązać się z kryzysem poezji, która w minionym wieku stała się w końcu lekturą elit, może też wynikać z nękającego powieściopisarzy i krytyków poczucia wyczerpania.

Wnioski takie nie wydają się jednak słuszne, bo po eseje sięgają często twórcy arcydzieł powieściowych i poetyckich. Wspinałym osiągnięciom dwudziestowiecznej prozy i liryki austriackiej towarzyszy znana w całej Europie twórczość eseistyczna. Latynoski boom, czyli zawrotna kariera powieści iberoamerykańskiej, także przynosi popularność grupie bardzo interesujących eseistów. W innych krajach rzecz przedstawia się podobnie.

Powiedzmy więc może raczej, że eseje rozwija się najpiękniej wszędzie tam, gdzie pojawia się konieczność refleksji o określonym charakterze, wypowiedzi osobistej, naznaczonej piętnem subiektywności, a przy tym swobodnej i otwartej, zachęcającej do dialogu. Esejów nie piszą dogmatycy, nie są więc one na ogół manifestami, traktatami czy deklaracjami ideologicznymi.

Osiągnięcia polskiego eseju dwudziestowiecznego związane są ze szkołą Jerzego Stempowskiego – to termin umowny, bez którego zapewne moglibyśmy się obejść, ale bez nazwiska mistrza już nie, ponieważ jeszcze w okresie międzywojennym stworzył on fundamenty polskiej szkoły eseju. Syn Stanisława Stempowskiego, pamiętnikarza i tłumacza, wieloletniego towarzysza życia Marii Dąbrowskiej, odgrywał w ówczesnym życiu politycznym rolę szarej eminencji. Pisał natomiast niewiele, nie odczuwając przymusu tworzenia, właściwego natchnionym poetom czy zawziętym układaczom fabuł. Mimo to już w latach trzydziestych potrafił skupić wokół siebie grono uczniów, do których należeli Bolesław Miciński i Jan Kott, w przyszłości uznani za wybitnych eseistów.

18 września 1939 r. Jerzy Stempowski przekroczył granicę węgierską. Do Polski nigdy już nie powrócił – resztę życia spędził w Szwajcarii. Dopiero po wojnie zaczął utrzymywać się z pióra, w czym nie mała zasługa Jerzego Giedroycia. To paryska „Kultura” drukowała przez kilkanaście lat cykl „Notatnik niespiesznego przechodnia”, podpisywany pseudonimem Paweł Hostowiec. To w „Bibliotece Kultury” ukazały się oba większe zbiory eseistyczne Stempowskiego: „Eseje dla Kassandry” i „Od Berdyczowa do Rzymu”.

Ich autor był rówieśnikiem poetów Skamandra: Tuwima, Wierzyńskiego, Iwaszkiewicza, Słonimskiego, i niemal rówieśnikiem drugiego z bohaterów mojej wypowiedzi – Józefa Wittlina. Właściwie do 1939 r. dzieliło ich prawie wszystko – Stempowski jako pisarz był znany jedynie koneserom i bibliofilom, Wittlin zaś zabłysnął jako poeta ekspresjonista i autor powieści „Sól ziemi”, opowiadającej o doświadczeniach z okresu I wojny światowej. Zaistniał także jako jeden z niewielu polskich pacyfistów – w kraju, który niepodległość zawdzięczał wojnie, a w dodatku darzył wielką sympatią własną armię, pacyfizm nie był oczywiście postawą szczególnie popularną. „Sól ziemi”, opublikowana w 1936 r., już przed wojną doczekała się czterech wydań

i przekładów na kilkanaście języków oraz kilku nagród. Stosunkowo młody jeszcze, czterdziestoletni pisarz stał się nieoficjalnym polskim kandydatem do literackiej Nagrody Nobla. Zapewne otrzymałby to wyróżnienie, gdyby dokończył swą „Powieść o cierpliwym piechurze”. Niestety, „Sól ziemi” pozostała jej pierwszą i jedyną częścią.

Wybuch wojny zastał Wittlina we Francji, następnie pisarz wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie spędził resztę życia. Tłumaczył, redagował i publikował, głównie na łamach prasy emigracyjnej. Gdyby nie inicjatywa Jerzego Giedroycia, eseje Wittlina pozostałyby pewnie rozproszone, a z upływem lat uległy zapomnieniu. Na szczęście w 1963 r. potężny, liczący prawie siedemset stron tom „Orfeusz w piekle XX wieku” ujrzał światło dzienne. W tej samej serii, w charakterystycznych szarych okładkach ukazały się dwa lata wcześniej „Eseje dla Kassandry” Jerzego Stempowskiego.

Obok tych książek moglibyśmy postawić eseje Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Józefa Czapskiego, Czesława Miłosa, wreszcie eseistyczne bez wątpienia konstrukcje Witolda Gombrowicza i Andrzeja Bobkowskiego. Dokonując takiego zabiegu uświadamiamy sobie, że największe osiągnięcia szkoły Stempowskiego stały się udziałem polskiej literatury emigracyjnej. Czy to przypadek, czy historyczna konieczność, którą wolno objaśniać specyfiką gatunku?

Esej to ulubiony gatunek tych wszystkich, którym bliskie jest mówienie we własnym imieniu, którzy spoglądają na rzeczywistość w sposób oryginalny, jednostkowy, niepowtarzalny. Z tego powodu sojusznikiem eseisty nie może być – i w praktyce nigdy nie jest – najłagodniejszy nawet cenzor. Pisarze dobrze o tym wiedzą, dlatego chcąc przechytrzyć cenzurę, wolą sięgać po historyczny kostium, tworzyć powieści, dramaty lub poezje pełne znaczących niedopowiedzeń. Esej podobnych możliwości raczej nie stwarza.

I jeszcze jedna, jakże znacząca cecha gatunku. Potrafimy wyobrazić sobie lirykę tworzoną w oderwaniu od tradycji – najlepszym przykładem jest spuścizna wszystkich prekursorów dziewiętnastowiecznej awangardy, którzy z taką odrazą traktowali muzea i biblioteki, pragnąc zacząć wszystko od początku. Zdarzali się prozaicy snujący swą opowieść tak, jak gdyby nie istniały żadne kanony sztuki fabularnej, a dotychczasowe historie pozbawione były wszelkiej wartości. Odkrywczy nowych form, poszukiwacze nowego języka, teatralni nowatorzy, dokonujący surowych obrachunków z przeszłością, nie byli na ogół mistrzami europejskiego eseju. W działalność eseisty, którego żywiołem są książki, obrazy, podróże, wpisany jest bowiem z góry szacunek dla tego co minione.

Skoro kultura, o jakiej myśli eseista, postrzegana jest jako całość, to całkiem naturalne okazuje się dążenie do ujawnienia jej korzeni. Nie ma rzecz jasna żadnych wątpliwości, że sięgają one czasów starożytnych. Oko eseisty tropi antyczne posagi, najdawniejsze teksty, zabytki najstarszej architektury, ale także ślady zachowane w pejzażu, a nade wszystko przenikające myśl współczesnych idee, obrazy, symbole, pytania, pojęcia i kategorie myślenia sięgające starożytności. W tym nieustannym dialogu toczącym się ponad obszarem dwudziestu paru stuleci towarzyszą nam również stworzone przez starożytnych postacie – figury mitologiczne i bohaterowie utworów literackich.

Powróćmy do wybranych przez nas eseistycznych książek Wittlina i Stempowskiego. Losy Orfeusza i Kasandry przemawiają ciągle do wyobraźni nie tylko filologów klasycznych, klasycyzujących poetów czy miłośników antyku. Wzruszają, intrygują, otwierają pole dla bardziej uniwersalnej refleksji. Ale czy obie te postacie mogą stać się symbolami minionego wieku? Orfeusz Wittlina, inaczej zapewne niż Orfeusz Rainera Marii Rilkego, to poeta i śpiewak, który został zesłany w mroczne czeluście

dwudziestego stulecia. Piekło XX wieku przepowiada również Kasandra Stempowskiego – przepowiada bezskutecznie, bo jak wiadomo, przeznaczeniem Kasandry jest nieufność i niedowiarstwo słuchaczy. W obu przypadkach spotkanie antyku – dodajmy, że chodzi tu o antyk grecki, a nie rzymski – kończy się zapowiedzią destrukcji. Kasandra widzi nadciągającą wojnę, totalitaryzm, katastrofę kultury i zagładę wartości. Jest jednak równie bezradna jak Orfeusz, którego pieśń nie ocala, bo jak mówi autor, „niczyja pieśń nie powstrzymała od wybuchu wulkanów ludzkiej nienawiści, nie zamknęła armatom ich paszcz, nie unieruchomiła tanków, nie przeszkodziła bombom zapalać miasta”.

To wszystko prawda, ale nawet w ponurym 1942 r. poeta czuje się w obowiązku zakończyć swój esej wezwaniem: „Słuchajmy Orfeusza”. Mimo wszystko słuchajmy Orfeusza, bezradnego i bezbronnego, nie zamykajmy dostępu apollińskiej harmonii, nie lekceważmy piękna zaklętego w słowach i dźwiękach. Słuchajmy także Kasandry, weźmy sobie do serca jej najbardziej ponure i najmniej prawdopodobne przepowiednie. Bo i w jednym, i w drugim przypadku odzywa się do nas cała mądrość przeszłości.

Eseje Wittlina i Stempowskiego to dzieło pewnej formacji, dziś już właściwie zanikającej, bo nowoczesna Europa straciła entuzjazm dla klasycznej edukacji humanistycznej. Wiara w prostotę i pragmatyczną skuteczność, a także troska, by nauka nie była zbyt dużym obciążeniem dla młodych umysłów, spowodowała faktyczną likwidację dawnych wzorów kształcenia. Nie opiera się już ono na grece, łacinie ani też kursie starożytnej historii i literatury. Nikt nie wymaga od dzisiejszych prymusów, by myśleli Platonem, a mówili Homerem i Wergiliuszem. A jednak – na przykład zdaniem Stempowskiego – nie istnieje zasadnicza sprzeczność między wykształceniem klasycznym a przydatnością do pracy na stanowisku kierowniczym w wielkim przemyśle, bo spojrzenie humanistyczne, jakie daje znajomość autorów klasycznych, pozwala kierownikowi przedsiębiorstwa lepiej ocenić jego cele, strategię i sens działania. Menedżer humanista widzi całość – pozbawiony wykształcenia technik czy robotnik zadowala się bez sprzeciwu rolą trybika w maszynie.

Osoby decydujące o modelu edukacji nie zawsze to rozumiały, dlatego już pół wieku temu Jerzy Stempowski mógł odnotować niepokojące prawdziwego miłośnika starożytności zjawisko: „W miarę swej specjalizacji szkoły – tak w Polsce, jak i gdzie indziej – ofiarowywały coraz więcej rzekomych wiadomości praktycznych, wydawały zaś coraz mniej młodzieży wykształconej i zrezygnowały wreszcie z takich ambicji. Z murów szkolnych wyszły pokolenia zawiedzione, świadome straconego bezpowrotnie czasu, trawione kompleksem niższości i skłonne do szukania kompensaty w arogancji i barbarzyństwie”.

W kulturze XX wieku, skłonnej obdarzać nas zarówno estetycznym relatywizmem, jak i przekonaniem, że zdolni jesteśmy bez żadnych ograniczeń wybierać dowolną tradycję, tkwił być może pewien błąd. Przypominają się tu słowa jednego z największych poetów współczesnych Thomasa Eliota, który stwierdził, że dzień, w którym egiptologia stanie się taką samą dziedziną wiedzy jak filologia klasyczna, oznaczać będzie koniec dawnej literatury. Autor „Ziemi jałowej” nie był katastrofistą, nie utożsamiał tego momentu z kresem klasyki ani końcem literatury w ogóle. Wyrażał nawet nadzieję, że ewentualne odrzucenie tradycji antycznej prowadzi raczej do powstania jakiejś nowej formy literatury. Nie potrafił wyobrazić sobie powrotu do stanu barbarzyństwa, do rzeczywistości, w której dla literatury mogłoby w ogóle zabraknąć miejsca.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, Eliot był niepoprawnym optymistą. Być może nie mógł zresztą przewidzieć postnowoczesnego barbarzyństwa, nie potrafił wyobrazić sobie świata mediów i reklamy, w którym tradycję zastępują krótkotrwałe mody, a produkty kultury skazane są na pięciominutowy żywot. Dzięki amerykańskiej superprodukcji filmowej można – przynajmniej na chwilę – ożywić modę na Homera i poznawanie dziejów wojny trojańskiej, ale nie będzie to jeszcze oznaczało ocalenia tradycji. Mody nie budują przecież poczucia trwałości, nie sprzyjają solidnej refleksji, nie kierują nas w stronę wieczności, nie zachęcają do zwycięstwa nad umykającym czasem. Powodowani modą, dokonując pospiesznych i nieprzemyślanych wyborów, pozbywamy się korzeni zapewniających poczucie zadomowienia, gwarantujących trwałość, dających poczucie niezłomności.

Ten proces rozpoczyna, zdaniem Wittlina, emigracja zarobkowa, w następstwie której mieszkańcy Starego Kontynentu zaczęli wędrować za ocean w poszukiwaniu chleba. Młoda cywilizacja amerykańska hołduje innym ideałom, a nabrawszy gospodarczego impetu, nie myśli o ustalaniu własnej genealogii i chętnie odwraca się od tradycji. Jedynym kryterium wartości okazuje się sukces ekonomiczny, a jedyną akceptowaną drogą życiową – kariera. „Co może obchodzić mnie Sokrates, skoro jest to człowiek, któremu się nie powiodło” – mówi amerykański student, rozmówca Wittlina. No cóż, „cykuta to nie coca-cola” – komentuje polski pisarz, zdumiony nieco i rozczarowany tą odmiennością spojrzenia. Ciekawe, że do podobnych wniosków doszedł jeszcze w poprzednim stuleciu Henryk Sienkiewicz, akcentujący w swych reportażach nade wszystko egzotyczny wymiar Ameryki.

Ale nawet po zniknięciu klasycznego gimnazjum pobieramy dalej nauki od starożytnych, choć może z upływem dziesięcioleci stajemy się uczniami coraz bardziej miernymi. Edukację w wieku dojrzałym zarówno Stempowski, jak i Wittlin skłonni są uznać za ważniejszą od kształcenia w młodości. Zwrot w stronę antyku spowodowany jest przekonaniem o coraz większym chaosie przenikającym otaczającą nas rzeczywistość. Nasz świat nie przypomina antycznej Arkadii, gdzie zatem, jeśli nie w starożytności, mielibyśmy poszukiwać jej obrazu? Gdzie, jeśli nie w tekstach greckich i rzymskich pisarzy, znajdować ideał porządku?

Wittlin jest zdania, że symboliczna rola przypada tu łacinie, która jest nie tyle świętym językiem kultury, co po prostu językiem dostarczającym nadal siły oraz inspiracji, językiem wprowadzającym do życia. „Łacina – pisze Wittlin – pocieszycielka spragnionych jasnej myśli i foremnie ciosanych zdań. *Magna mater* ludzkiej roztropności w świecie, którym rządzi abrakadabra. Sterniczka szalup, w których, rozbitkowie, płyniemy ku naszym Acherontom. Niekruszejąca skała w świecie, gdzie wszystko jest kruche”.

Nie może być zatem mowy o czytaniu literatury współczesnej bez znajomości antycznych korzeni europejskiego piśmiennictwa. Wielcy mistrzowie greckiej oraz rzymskiej poezji, prozy, filozofii, retoryki traktowani są w eseistyce Stempowskiego i Wittlina niczym dobrzy znajomi. Toczą oni dialog z autorami głośnych nowości literackich. Seneka czy Wergiliusz u Stempowskiego, a Homer w tekstach Wittlina to nie pokryci kurzem klasycy, lecz autorzy żywi, wciąż intrygujący i atrakcyjni, ciągle nasi współcześni, mimo dystansu wielu stuleci. Ich mądrość nadal okazuje się aktualna, ich ideały estetyczne nie utraciły znaczenia. Wciąż powtarzają się te same pisarskie losy – teraz i przed wiekami. Na przykład symbolem doświadczenia emigracji, doświadczenia

wygnania i wędrówki, jest los Owidiusza, patronującego wszystkim późniejszym poetom oderwanym od ojczystej ziemi.

Antyk to dla wykształconych Europejczyków lekcja kultury i lekcja humanizmu, to również lekcja smaku, umiaru, dystansu, odporności na szaleństwo, głupotę, zbiorowy obłęd. Czy również lekcja historii? Jeśli tak, to na jakich oparta przesłankach i do jakich prowadząca wniosków?

Dla Wittlina II wojna światowa jest „od czasów Attyli pierwszym w dziejach Europy totalnym najazdem barbarzyństwa na całokształt ludzkiego uduchowienia”. Z tym większym smutkiem przyjmie pisarz wiadomość o hitlerowskim napadzie na Grecję – napisze wówczas piękny esej „Żałoba po Helladzie”. W ujęciu Wittlina antyczna Grecja i Rzym reprezentują istotę kultury europejskiej, a Hunowie, podobnie jak późniejsi o kilkanaście wieków niemieccy agresorzy, są niepoprawnymi barbarzyńcami, rzucającymi wyzwanie największemu bogactwu świata śródziemnomorskiego.

Stempowski, lepiej znający zarówno tajniki gry dyplomatycznej, jak i ciemne strony historii, wydaje się znacznie bardziej sceptyczny. Jego esej „Czytając Tukidydesa” z 1957 r. to z pozoru notatki z lektury „Wojny peloponeskiej”, jednego z najważniejszych dzieł starożytnej historiografii. Tylko z pozoru, bo oczywiście autor proponuje nam niezwykle gorzką lekcję historii współczesnej, chciałoby się nawet rzec – najnowszej. W tej interpretacji podziały nie są już tak oczywiste. Nie ma barbarzyńskich Hunów ani cywilizowanych ludów, które stworzyły wspaniałą kulturę antyku. Odwołując się do Tukidydesa, Jerzy Stempowski kreśli obraz przerażająco racjonalnej ekonomii wojny.

Wittlin był zdania, że za zbrodnie wojenną i totalitarnym okrucieństwem ukrywać się musi szaleństwo i nierozumność, właściwa pozbawionym ogłady barbarzyńcom. Stempowski nie podziela tak optymistycznej opinii – sądzi wręcz, że istnieje odpychająca, ale całkiem racjonalna mądrość wojny. W pewnych warunkach zabijanie opłaca się, w innych warto pozostawić przy życiu pokonanych wrogów. A o tym, jaki czeka ich los – skazańców, niewolników czy przymusowych sojuszników – decyduje chłodna kalkulacja, nie zaś chwilowe emocje. Takiej ponurej lekcji udzielają nam główni uczestnicy wojny – nie barbarzyńscy Hunowie, lecz Ateny i Sparta, czyli miasta, które wzniosły fundamenty kultury antycznej.

Odwołując się do Tukidydesa, Stempowski bada jakże aktualny problem mocarstwa i jego małych sprzymierzeńców, dochodząc do niezbyt pocieszających wniosków. Los satelitów wydaje się nie do pozazdroszczenia i w warunkach pokoju, i podczas wojny. Państwa, które nie są mocarstwami, przegrywają nawet wówczas, gdy dochowały wierności zwycięskiej stronie.

O wszystkim tym wiedział już Tukidydes, sceptyczny mędrzec rozmyślający przed wiekami o istocie ludzkich dziejów. Stempowski powiada, że czytano go zbyt rzadko, że lekkomyślnie usunięto z kanonu lektur obowiązkowych. Być może autor „Esejów dla Kassandry” ma rację, być może się myli. Ostatecznie bowiem cywilizacja śródziemnomorska nie jest i na przestrzeni wieków nigdy nie była absolutną jednością. W tej mozaice, którą odziedziczyliśmy po klasycznym antyku, mieści się zarówno demokracja, jak despotyzm, umiłowanie sztuki i gotowość do destrukcji, okrucieństwa, zbrodni. Jest tu gorzki sceptycyzm, ale i granicząca z iluzją nadzieja, jakże potrzebna do życia. Starożytna historia, greckie mity, arcydzieła poezji i prozy przynoszą bardzo rozmaite opowieści, dowodzące zarówno wielkości, jak i nędzy człowieka, społeczeń-

stwa, narodu. Jest to zatem tradycja wielokształtna, przywodząca jednak na myśl zwierciadło, w którym przegląda się współczesność – przegląda, podziwia, zachwyca. O ile oczywiście zachowała jeszcze zdolność widzenia. Dziękuję bardzo. (*Oklaski*)

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Bardzo dziękuję panu profesorowi Janowi Tomkowskiemu.

Proszę Państwa! I tak dobrnęliśmy do przerwy. Ale ponieważ wszystkie wystąpienia były dłuższe niż planowaliśmy - na czym akurat zyskała ta dzisiejsza nasza konferencja - w związku z tym bez radości ale ogłoszę, że przerwa będzie krótsza niż planowaliśmy.

Zapraszam piętro niżej na kawę i bardzo proszę, zobaczymy się tak jak w programie zostało zapisane, o godzinie 13 minut 20. Proszę o piętro niżej. Dziękujemy.

(Przerwa w obradach)

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Ci co jeszcze nie doszli, dołączają, a tymczasem, jeśli państwo pozwolą, otworzyłbym etap pytań, wypowiedzi, dyskusji. Chciałbym również zaproponować, żeby czas wystąpień nie przekraczał pięciu minut. Mam świadomość, że jest to bardzo bolesne ograniczenie, ale zobaczymy, jak się wypadki potoczą.

Przypominam też moją prośbę, którą skierowałem do państwa na początku, aby przedstawiali się państwo z imienia i nazwiska. Jest to ważne dla protokołu.

Bardzo proszę, kto z państwa chciałby zabrać głos?

Proszę bardzo. Dla ułatwienia proszę podchodzić do mównicy.

**Doktor w Wyższej Warszawskiej Szkole Humanistycznej
Kazimierz Piotrowski:**

Moje nazwisko Kazimierz Piotrowski. Jestem doktorem nauk humanistycznych, wykładałem estetykę w Wyższej Warszawskiej Szkole Humanistycznej.

Może zacząłbym właśnie od stwierdzenia, że wykładałem estetykę, a więc dyscyplinę filozoficzną. Nastraja mnie to do takiej refleksji, że to nasze spotkanie, nasz wysiłek, byłby, jak sądzę, bardziej owocny, gdyby wśród wypowiedzi pojawił się głos filozofa, bo mielibyśmy wtedy szerszą perspektywę. Bo wypowiedzi, których do tej pory wysłuchaliśmy, były głosami filologów.

Dlaczego jest to tak ważne? Dlatego, by spojrzeć na antyk właśnie w szerszym kontekście, nie tylko jako na pewną tradycję literacką czy tradycję moralitetu, ale właśnie by spojrzeć możliwie jak najszerzej z punktu widzenia filozofii, i to filozofii, powiedziałbym, nie tylko klasycznej ale także współczesnej.

Profesor Tomkowski świetnie podkreślił to, co napiera na antyk, czyli to, co inne, ten amerykański pragmatyzm. Dlatego chciałbym zaproponować państwu taką szeroką wizję antyku, widzianego również z perspektywy współczesnej filozofii, która, można powiedzieć, zagraża tej tradycji. Myślę tutaj właśnie o nurcie postmodernistycznym, takim jak dekonstrukcjonizm Jacquesa Derridy czy nawet Levinas.

Otóż pojawia się pewne pytanie, mianowicie takie, czy antyk, jako pewna tożsamość, jako głos, który mówi coś w imieniu antyku, w imieniu tej tradycji, sam siebie słyszy. Czy jest tylko wyrazem jakiejś swojej własnej istoty, czy też jest wyrazem tożsamości uwarunkowanej tym, że na antyk zawsze napierało to co inne, to, co w tej chwili też napiera na antyk. Bo to spotkanie, które zapoczątkował pan senator Sławiński czy pan senator Szafraniec, to jest coś, co odebrałem jako głos w obronie antyku, jego zagrożonej tożsamości. Czy to nie jest tak – to jest pytanie przede wszystkim do inicjatorów tej sesji, tego seminarium – że antyk zawsze zakładał to co inne, że to zawsze napierało na antyk i właśnie dzięki temu antyk w ogóle był tym, za co go uważamy, to znaczy jakąś zasadą, która zawsze regulowała, racjonalizowała?

Jeżeli chodzi o tradycję antyczną, wskazałbym właśnie na fenomen, jaki się narodził w antycznej Grecji, to znaczy na odkrycie rozumu. Bo wszelkie *nach Leben*, jak to mówią Niemcy, życie antyku, zawsze było jakimś odwoływaniem się do antyku, jako zasady przede wszystkim harmonizującej życie. I tak bym też tutaj widział naszą rolę. Czy to jest tylko początek tego wyzwania, przed którym stoimy?

Winckelmann mówił wręcz o religii rozumu, który musi ciągle od nowa podejmować wysiłek racjonalizacji. Ale pojawia się pytanie: jaka to ma być racjonalizacja? Tu też widzę pęknięcie w obrębie dziedzictwa antyku. Czy to ma być taka racjonalizacja, jaką proponowali sofisci, czyli oświecenie sofistyczne? Czy to ma być taka racjonalizacja, jaką proponował Platon, bardzo restrykcyjna – wygonienie poetów, wygonienie artystów, poetów z państwa? Czy może ma to być racjonalizacja, którą proponował Arystoteles, to znaczy rozróżnianie typów dyskursu, typów racjonalności, do których później będzie się wielu myślicieli odwoływało – będzie to na nowo podejmował Pascal, ale również Kant, zresztą współcześni filozofowie, nawet postmoderniści, też odwołują się do Arystotelesa.

To jest właśnie pytanie: jak będziemy reinterpretować antyk, jego dziedzictwo, przede wszystkim antyk jako zasadę racjonalizującą? W tym momencie odwołałbym się do kategorii szczególnie dla mnie ważnej, mianowicie do kategorii *charis* – wdzięku. To, co według mnie jest dzisiaj szczególnie cenne dla naszej kultury, to jest właśnie kult *charis*. Dzisiaj, w chrześcijańskim świecie, to nie może być pewnie kult Charyt, ale chodzi raczej o zasadę, która jest w tym mieście zawarta, to znaczy, że jest jakiś boży podarunek dany człowiekowi. Tym bożym podarunkiem może być wdźwięk, może być nim piękno, które domaga się odpowiedzi, życzliwości, odwzajemnienia. To jest to, co ciągle żywe w antyku.

Winckelmann w swoim ważnym eseju o gracji w dziełach sztuki antycznej mówi, że gracją jest to, co się podoba i co się zarazem poddaje rozumowi. Tak też rozumiem, proszę państwa, tradycję antyku i tę naszą pracę. My jesteśmy na nią po prostu skazani. Antyk jako zasada racjonalizująca, harmonizująca zawsze będzie żywy, tyle że tę harmonię, jak przypomniał profesor Mossakowski, można rozumieć różnie. Jaki rozum będzie nam przyświecał? Czy to będzie ten rozum, powiedzmy, pierwotny, który się wyraża w słowie *aisthetikos* – wrażliwy, bystry, czy to będzie ten rozum *diakritikos* – tylko rozróżniający, czyli taki, jakiego się obawia pan senator Szafraniec, rozum jedynie rozróżniający, powodujący narzucanie się relatywizmu, czy też ma to być rozum, który scala, normalizuje?

Chciałbym z punktu widzenia filozofii zarysować ewentualnie takie pole naszej dyskusji. Bardzo dziękuję za uwagę.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Bardzo dziękuję panu doktorowi.
Kto z państwa chciałby zabrać głos? Bardzo proszę, jest okazja.

**Preses Oddziału
Katolickiego Stowarzyszenia Lekarzy Polskich Kraków – Brzesko
Andrzej Małyśa:**

Andrzej Małyśa, Kraków – Brzesko.
Zabieram głos jako profan, jestem bowiem lekarzem.

Powiedziałbym tak: słuchając tych referatów, można powiedzieć, że jesteśmy wszyscy z antyku. Ciekawe byłoby natomiast spojrzenie na to, jak na terenie Polski dokonała się synteza tego, co pochodzi ze starożytności śródziemnomorskiej, z tym, co pochodzi ze Wschodu.

Tak czy inaczej, zabieram głos, aby powiedzieć pewien truizm, mianowicie taki, że nie mielibyśmy antyku, gdyby nie było chrztu Polski – trzeba o tym pamiętać. Trzeba też pamiętać o tym, o czym mówił pan senator Szafraniec: czym byłaby prawda, piękno i dobro bez miłości?

Dla mnie praktyczny wniosek z tej konferencji jest taki: musimy walczyć przeciw cywilizacji śmierci i propagować cywilizację miłości. Dziękuję.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Bardzo dziękuję.
Kto z państwa...
Bardzo proszę. Tak, zapraszam na mównicę. Nie ma pośpiechu, spokojnie.

**Dama Zakonu Rycerskiego Bożego Grobu w Jerozolimie
Małgorzata Chojnacka-Dzieszyńska:**

Małgorzata Chojnacka-Dzieszyńska z Krakowa.

Chciałabym jak najbardziej poprzeć mojego przedmówcę, pana doktora Małyśę. Ja może młodo wyglądam, ale jestem przedstawicielką, można tak powiedzieć, starego portfela, bo kiedy kończyłam liceum, był ostatni rok nauczania łaciny. Ta łacina bardzo dużo mi dała, bo choć nie znałam wtedy żadnego języka zachodniego, miałam potem łatwość uczenia się tych języków. Dodatkowo moja łacinniczka, profesor Kwaśniewska, wprowadziła mnie w kulturę Europy. Bardzo dużo mi to dało. Chodzi nie tylko o kulturę, ale też pewien styl zachowywania się, o jakiś *savoir vivre*, o wszystko właściwie. Ja widzę, jaka jest w tej chwili różnica między ówczesnym wychowaniem, a wychowaniem młodzieży w obecnych latach. To jest jakaś przepaść. Tym młodym dzisiaj czegoś brakuje, nie mają jakiejś bazy – ja tę bazę mam.

Obecnie pracuję w Hotelu Pollera, który odzyskał mój ojciec. I teraz okazało się, że nauka języków przychodzi mi bardzo łatwo. Nie dlatego, że mam jakieś podstawy językowe, tylko dlatego, że mam po prostu pewną podstawę kulturową. Wciąż mile wspominam właśnie lekcje łaciny, na których pani profesor wiele, wiele nas nauczyła. To było po prostu uzupełnienie wychowania w rodzinie. Dziękuję.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Dziękuję bardzo. Do pochwały łaciny się przyłączam, choć zdaje się, że kiedy ja się jej uczyłem, do ostatniego roku nauczania tego języka było daleko.

Bardzo proszę, kto z państwa chciałby jeszcze zabrać głos?

Bardzo proszę, Panie Profesorze.

**Emerytowany Profesor w Zakładzie Kultury Antycznej
w Instytucie Filologii Klasycznej
na Wydziale Polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim
Juliusz Domański:**

Nazywam się Juliusz Domański. Jestem filologiem klasycznym – takie było moje pierwsze wykształcenie – ale także historykiem filozofii dawnej i emerytowanym profesorem dwóch instytutów: Instytutu Filologii Klasycznej Uniwersytetu Warszawskiego oraz Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.

Ja chciałbym w swojej wypowiedzi nawiązać do tej ostatniej wypowiedzi, ale też i do pierwszej, w pewnym stopniu.

Nawiązując do tej pierwszej wypowiedzi, chcę powiedzieć – nie wgłębiając się, tak jak mój przedmówca, w istotne treści i zagadnienia filozofii współczesnej, jej relacji do filozofii antycznej, tylko bardziej powierzchownie rzecz traktując i bardziej pragmatycznie – że w obecnej sytuacji, w obecnym świecie, mimo tego zagrożenia postmodernistycznego czy też jego zacyznu, bo nie wiadomo, co z tego wyniknie, filozofia starożytna, grecka, ma chyba największą szansę ostania się w całej swojej integralności, bo jest atrakcyjna. A atrakcyjna jest dlatego, że filozofia jest tą częścią dziedzictwa antycznego i dziedzictwa przeszłości w ogóle, która najmniej się dezaktualizuje. To tyle na temat tej pierwszej wypowiedzi. Nie będę rozwijał tego mojego optymistycznego spojrzenia na przyszłą sytuację filozofii starożytnej. Dodam tylko, że ona jest tak mocno zakodowana w myśleniu filozoficznym, że według mojego optymistycznego przewidywania – bo nie mam na to dowodów – nawet postmodernizm jej nie ruszy, co zresztą mój przedmówca bardzo pięknie zaznaczył, mówiąc chociażby o pluralizmie Arystotelesa.

Jeśli zaś chodzi o wypowiedź dotyczącą samych języków klasycznych – spróbuję się zmieścić w tych paru minutach – chcę państwu opowiedzieć o czymś, co się niedawno wydarzyło w Warszawie, w Ośrodku Badań nad Tradycją Antyczną w Polsce i Europie Środkowowschodniej. Chodzi o pewną dyskusję, która została nieco steatralizowana – żeby była trochę atrakcyjniejsza, mniej akademicka – przez profesora Axera, Jerzego Axera, oczywiście, nie Erwina Axera. Dyskusja ta, w tej swojej teatralizacji, miała być swoistym sądem nad łaciną i pod takim hasłem się odbyła – „Sąd nad łaciną”. Pretekstem do tego sądu była książka, chyba słabo u nas znana, „Le Latin: sous le signe de l'Empire” francuskiej autorki Francoise Waquet. Zresztą w oryginalnej wersji francuskiej tej książki nie ma w Warszawie – jest gdzieś, w jakiejś bibliotece, jedynie przekład angielski, który notabene zrobił większą karierę niż oryginał, bo jest to przekład trochę zmieniony, sparafrazowany, pozbawiony pewnych elementów swości francuskich, czyli, powiedziałbym, umiędzynarodowiony.

Cóż to za książka, która tytuł można by przetłumaczyć jako „Łacina jako symbol imperium”? Jest to bardzo wszechstronne studium, można by powiedzieć, histo-

ryczno-socjologiczne, dotyczące historii nauczania w Europie łaciny, jako bezpośredniego przekaznika tradycji antycznej. Bardzo dziwna książka, powiedziałbym, naładowana treściami, których trudno było się po niej spodziewać, ale dająca dużo do myślenia. To jest takie studium historii nauczania łaciny i skutków tego nauczania w rozmaitych dziedzinach życia społecznego. Wychodzi tam na jaw na przykład to, że przez całe wieki znajomość łaciny dawała uprzywilejowanie tym, którzy ją znali, że to uprzywilejowanie było udziałem mężczyzn, a nie kobiet itd., itd. Są w niej również pewne wątki, powiedzmy, dość sensacyjne, ciekawe, ale nie o tych chcę mówić.

Wydaje mi się, że rdzeniem dyskursu zawartego w tej książce jest to, że nauka łaciny w szkołach średnich – to jest francuski punkt widzenia, wynikający z oceny sytuacji, jaka panowała we Francji w całej jej historii nowożytnej, począwszy od renesansu, bo od tego się zaczynają wszystkie te analizy historyczne – była czymś, czemu trzeba było poświęcać wiele trudu, co stresowało młodzież, nie przynosząc pożytku współmiernego do tego trudu. Bo opuściwszy szkołę, ogromna większość tych, którzy się w niej uczyli łaciny, wszystko zapominali, a ci, którzy nie zapominali i stawali się fachowcami, pewnie i tak nauczyliby się łaciny, niekoniecznie w wyniku wieloletniego trudu szkolnego.

Teza autorki, oparta na rozpoznaniu realiów, które tylko przykładowo wymieniłem, jest taka, że oto w dzisiejszym świecie należy zaniechać nauczania łaciny na poziomie szkoły średniej, przy czym sama autorka, pani Francoise Waquet, bynajmniej nie jest przeciwnikiem ani samej łaciny, ani tym bardziej tradycji antycznej – ona tę tradycję, jako składnik wspólnego dobra duchowego Europy, bardzo ceni. Zarazem jednak wyobraża sobie, że świat doszedł do takiego punktu, w którym tradycja antyczna powinna być znana, przyswajana i ciągle obecna jedynie poprzez wznawiane przekłady z literatury antycznej. Taka jest teza tej książki.

Pozwolę sobie powtórzyć w skrócie to, co powiedziałem na tym spotkaniu w ośrodku badań nad tradycją antyczną. Otóż teza, a raczej osąd samej książki i zawartych w niej propozycji, był następujący. Wydaje mi się, że racjonalność tej propozycji jest ogromnie pragmatyczna, tylko pragmatyczna, a przez to ograniczona. Co by się stało, gdybyśmy na serio potraktowali taki program i zrezygnowali z szerszego kształcenia? Na poziomie szkoły średniej zrobiliśmy to już dawno, ale wydaje mi się, że warto pamiętać o tym, iż należałoby, przynajmniej w jakimś zakresie, ten dawny stan rzeczy, o którym mówiła moja przedmówczyni, starać się jakoś przywrócić. Bo co by się stało, gdybyśmy poszli za tą radą? Moim zdaniem łączność z tradycją antyczną zostałaby, owszem, utrzymana, ta tradycja zachowałaby swoją atrakcyjność, ale stałoby się coś, do czego, moim zdaniem, nie powinniśmy dopuścić, a mianowicie z czasem, i to bardzo szybko, stałaby się ona czymś egzotycznym, czymś takim jak kultura chińska czy japońska, czy hinduska, czy kultura Azteków. Bez tej łączności poprzez język, ale nie takiej, jaką proponuje pani Waquet – ona naturalnie proponuje, żeby tę łączność zachować, bo wie, że tego stracić nie można – czyli takiej, która ograniczałaby się do elity fachowców, do przyszłych tłumaczy, którzy będą dokonywać wciąż nowych przekładów, dostosowanych do zmian w języku... Gdybyśmy poszli za jej radą i ograniczyli znajomość łaciny do takiej elity, to nastąpiłoby właśnie to, co grozi nam całkiem realnie – nasza tradycja, europejska tradycja antyczna, stałaby się czymś egzotycznym. Tak bym powiedział, powtarzając swoją ówczesną ocenę tej książki.

A skoro już jestem w tym miejscu, w którym sprawuje się przecież jakaś władza, w którym można wpływać na sytuację kultury w sposób niedostępny ani pojedynczym

pracownikom nauki, ani zespołom tych pracowników, to muszę powiedzieć, że nadeszła pora, żeby się zastanowić nad tym, jak ten dawny stan rzeczy przywrócić. Ja wiem, że nie możemy dzisiaj, w XXI wieku, restytuować tego, co reprezentowała szkoła jezuicka, ani nawet tego, co reprezentowały gimnazja klasyczne, chociażby przed I wojną światową, tak jak to opisywał Jan Parandowski w powieści „Niebo w płomieniach”. To jest chyba nieprzywracalne. Ale trzeba się zastanowić, co można robić, żeby nie stracić kontaktu z dziedzictwem antycznym, tego kontaktu, który jest zdolny penetrować to dziedzictwo w sposób najbardziej chwytający jego istotę. Dziękuję.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Bardzo dziękuję, Panie Profesorze.
Proszę bardzo, zapraszam do mównicy.

**Emerytowany Doktor
w Zakładzie Dydaktyki i Metodyki Języka Łacińskiego
w Instytucie Filologii Klasycznej
na Wydziale Polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim
Jerzy Mańkowski:**

Jerzy Mańkowski, filolog klasyczny, emerytowany nauczyciel akademicki na Uniwersytecie Warszawskim.

Jesteśmy pod presją czasu, dlatego jedynym zdaniem, którym odniósłbym się do wypowiedzi referentów, byłoby podziękowanie za to, że zostały wybrane takie tematy i że tak zostały przedstawione.

Teraz chciałbym powiedzieć coś o transmisji badań prowadzonych przez filologów klasycznych do tak zwanych szerokich kręgów odbiorców, w tym również do szkół. Otóż nie kwestionując absolutnie konieczności rozpowszechniania i znajomości tego, co rozumiemy szeroko pod pojęciem „topika”, uważam za bardzo ważne propagowanie zawartej w literaturze antyku poetyckiej intuicji – tego, co się składa na poetycką wiedzę o człowieku. Jeżeli bowiem, mówiąc o „Iliadzie”, będziemy się ograniczać do opowiedzenia mitu, o sędziu Parysa, o porwaniu Heleny, a potem dodamy jeszcze coś o tym, kto walczy po jednej stronie, a kto po drugiej, to zmarnujemy wielką szansę. Bo „Iliada” – zostało to wykazane w sposób dostateczny w badaniach cieszących się dużym autorytetem – zawiera pewną koncepcję człowieka. „Iliada” jako całość mówi o tym, co człowiekowi wolno, na co człowieka stać, co jest ważne. Jeżeli nie będziemy o tym mówić, to samo streszczanie mitu, podawanie *argumentum* czy *hipotesis* mitu, będzie mało ważne.

I druga teza, drugi dezyderat. Pomędzy pisarzami antyku, tak jak pomiędzy pisarzami innych czasów, toczył się nieustanny dialog: dialog pomiędzy epoką archaiczną i klasyczną, z kolei w epoce klasycznej dialog między tragikami, na przykład na scenie, gdzie czasem w ciągu tych samych wielkich dionizjów oglądano fabuły przedstawiające zupełnie inne wizje życia. Otóż w naszym przekazywaniu tej wiedzy szerokim kręgom odbiorców, szkołom, brakuje dynamiki. Pokazujemy ten antyk jako coś statycznego. Przykładem takiego zafałszowania – przepraszam za to mocne słowo – jest prezentowanie mitu o Prometeuszu. Przecież mit o Prometeuszu jest inny u Hezjoda i inny u Ajschylosa. Jeżeli więc będziemy próbowali przekonać młodzież, że ma się

nauczyć jakiejś opowieści z podręcznika czy ze słownika mitologii, to zmarnujemy szansę, odwiedzimy ją od tego, co sama mogłaby zauważyć. Mit należy bowiem pokazywać w takiej postaci, w jakiej służył on wyrażaniu pewnej koncepcji świata. Mit u Hezjoda jest mitem o Prometeuszu, który pogorszył sytuację ludzi, a u Ajschylosa jest mitem o bohaterze, który pomógł ludziom – przepraszam za te uproszczenia, ale staram się jak najbardziej streszczać.

Dzisiaj zostało przywołanych kilka nazwisk, między innymi Jerzego Stempowskiego. Jest to jeden z pisarzy, którzy powinni zająć lepszą, wyższą pozycję, kiedy mówi się o antyku. Jerzy Stempowski czy Kazimierz Kumaniecki, kiedy mówią o pisarzach politycznych i o problemach politycznych Rzymu, Adam Krokiewicz, Zygmunt Kubiak czy, z żyjących, pani profesor Świderkówna to autorzy, którzy powinni być umieszczani na pierwszym miejscu, zamiast jakichś streszczeń słowników mitologicznych.

Jeśli chodzi o odwołania do antyku w tradycji i literaturze polskiej, przywołanie Kadłubka było znakomite, dlatego że Kadłubek nie tylko przenosi na grunt polski wzorce antyku, ale także pokazuje wartości, jakie tkwią już w dorobku kulturalnym Polski – mówi o tym sam Kadłubek, bezpośrednio w swoim tekście, mówi o tym również Kurbisówna w swoim komentarzu, w którym stwierdza, że Kadłubek to ktoś, kto pokazuje, że pogańska Polska, rozwijająca się przez wieki, wypracowała takie wartości, które można zestawić z wartościami propagowanymi przez rzymskich pisarzy historycznych, między innymi Justyniana. W Polsce to wszystko już wtedy było, dlatego ten nasz pierwszy ważny pisarz nie przyjmuje wcale zasady: czerpmy tylko stamtąd, lecz pokazuje, co jest ważnego w tym dorobku.

I jeszcze zdanie z Kadłubka: „Czy dlatego, że ten obrzęd wymyśliło i wytworzyło pogaństwo, będziemy sądzić, że zasługuje on na przekleństwo? Strzeżmy się przeto usuwania takich praw, jakimi się posługujemy”. I teraz: „Niezbożną jest bowiem rzeczą nie czcić tego, co rozum ustanowił, co nawet czci bogobojnie obyczaj przodków”. Chciałbym podkreślić tę specjalną funkcję powoływania się na antyk dla uwznioślenia, dla uwypuklenia wartości rodzimej tradycji.

I jeszcze jedna uwaga dotycząca Kadłubka. Podkreślano dotąd, że jest on autorem oryginalnej definicji sprawiedliwości, w związku z historią Kraka. Kadłubek powiedział, że przed Krakiem sprawiedliwością to było to, co służyło władcy, możnemu. Krak, ustanowiwszy prawa, zorganizowawszy państwo, sprawił, że od tego momentu sprawiedliwością stało się to, do czego mógł się odwołać człowiek ubogi, niskiego stanu, biedny. Otóż dzisiaj – niestety, stało się to już po śmierci pani profesor Kurbisówny – możemy stwierdzić, że to nie jest oryginalna definicja Kadłubka. Ta definicja została zaczerpnięta z Chalcydusza i była propagowana przede wszystkim w szkole w Chartres przez Bernarda z Chartres, uczonego, który był od Kadłubka o jedno pokolenie młodszy. Pytanie: skąd ta definicja pochodzi? Otóż pochodzi ona z Platona, a jest definicją Sokratesową, przeciwstawioną definicji Trzymacha. Mamy więc pozornie sytuację, że oto Kadłubek został pozbawiony czegoś, co wydawało się jego własne. Co dzięki temu zyskujemy? Zyskujemy to, że Kadłubek działaniom mitycznych postaci w Polsce nadał taką rangę, przypisał im taką rolę, jaką odgrywał w tradycji antyku Sokrates.

I jeszcze słówko o Kochanowskim, bo i Kadłubek, i Kochanowski są znakomitymi przykładami republiki *poetarum et philosophorum*, która istnieje ponad granicami państw. Otóż Kochanowski studiuje w Padwie, wraca z tej Padwy wykształcony i tworzy między innymi „Odprawę posłów greckich”. Nie jest to ani powtórzenie pomysłów

Homera, ani Sofoklesa, ani nikogo innego – to jest nowa wizja spraw tak ważnych dla człowieka jak fatum, życie, odpowiedzialność człowieka za istnienie państwa.

Dlatego bardzo bym prosił – przepraszam za tę prośbę – polonistów, którzy skłonni są uznawać, że w „Odprawie posłów greckich” fatum nie odgrywa żadnej roli, żeby przyjrżeli się scenie, w której po ukazaniu się Kasandry Antenor i Priam przypominają, że zanim urodził się Parys, pojawiła się przepowiednia, że ten człowiek zniszczy miasto. Żeby zapobiec tej przepowiedni, wygnano Parysa. A zatem to, co zrobił Parys, dokonało się już wcześniej, zostało przepowiedziane, stało się przeznaczeniem. Wielkość Kochanowskiego polega na tym, że działania ludzi, którzy doprowadzili do upadku Troi, splatają się w jakiś dziwny sposób z tym, co zostało przez kogoś przepowiedziane.

Panie Przewodniczący, teraz gorzka uwaga. Jeżeli chcemy szczyścić się naszymi pisarzami, przede wszystkim renesansowymi, którzy pisali po łacinie, dokonujemy czegoś zupełnie przeciwnego naszym zamierzeniom, wydając ich z błędami. Skoro łaciński tekst Kochanowskiego, liczący sześć stroniczek, zawiera siedem błędów, a liczący dwieście siedemdziesiąt kilka stron tekst znakomitego traktatu „De optimo senatore” liczy ponad trzysta błędów, to można stwierdzić, że jesteśmy krajem, w którym są zasadnicze braki, defekty w edukacji. Ja nie wiem, jak można to naprawić, nie wiem zresztą, czy w ogóle można to naprawić, dlatego powiem tylko: niech nie każdy i nie za wszelką cenę wydaje teksty łacińskie, którymi mamy się chwalić przed Europą Zachodnią.

Pozwolę sobie jeszcze, już króciutko, nawiązać do tego, o czym mówił pan przewodniczący, mianowicie że antyk jest tematem tylko akademickim. Chciałbym być złym prorokiem, ale obawiam się, że za jakiś czas spotkamy się z interpretacją „Antygony”, z której będzie wynikało, że odwołanie się do niepisanych praw, które rzutują na działalność Antygony, jest drugorzędne, istotniejsze jest bowiem, że ten, który najechał na jakieś państwo, i ten, który został najechany, mają takie samo prawo do pogrzebu. Oni mają prawo do pogrzebu, ale nie wynika to ze zrównania tych praw w „Antygonie”. Obawiam się jednak, że takie interpretacje mogą się pojawić – mówię „obawiam się”, choć z takimi interpretacjami już się na Zachodzie można zetknąć.

I na koniec prośba. Panie Przewodniczący, Polsce potrzebne są nowe poetyckie przekłady tekstów poetów antycznych. To nie zmienia niczego, o czym mówił pan profesor Domański, kiedy wspominał o studiach nad poetami. Ja mówię o udostępnianiu tych poetów tym, którzy tych studiów prowadzić nie mogą. Otóż, brakuje w Polsce poetów, którzy przetłumaczyliby na przykład Sofoklesa. Sofokles nie doczekał się u nas poetyckiego przekładu, który by dorównywał oryginałowi, a jeszcze kilkanaście lat temu podobnie było z Horacym. Dzisiaj jest lepiej, ale wciąż jeszcze, kiedy na zajęciach z Horacego chcemy pokazać jego twórczość, z zażenowaniem szukamy przekładu: ten nie, ten też nie...

Gdyby zatem pojawili się, Panie Przewodniczący, uzdolnieni poeci, będziemy szukać tutaj wsparcia, niekoniecznie finansowego, ale również moralnego, dla inicjatyw, które spowodują, że po polsku będzie się pięknie mówić językiem i myślami ludzi antyku. Dziękuję bardzo. (*Oklaski*)

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Dziękuję bardzo panu profesorowi.

Przy okazji mamy zatem dwa wnioski, które postaramy się oczywiście zapisać i przekazać dalej. Jeśli pan pozwoli, Panie Profesorze, to spotkaniu chciałbym też do-

wiedzieć się czegoś więcej na temat tego zarzutu co do Kochanowskiego. Bo myśmy ostatnio niczego nie wydawali pod patronatem Senatu. Ale to to tak à propos.

(Wypowiedź poza mikrofonem)

Dobrze, dziękuję ślicznie.

Pani zgłaszała się do dyskusji, bardzo proszę.

**Adiunkt w Pracowni Literatury Średniowiecza
w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk
Anna Sobieska:**

Anna Sobieska. Jestem doktorem nauk humanistycznych, adiunktem w Polskiej Akademii Nauk.

Mam tylko jedną krótką uwagę, dopowiedź, odwołanie do polskiej eseistyki dwudziestowiecznej.

Padały już nazwiska Bolesława Micińskiego czy Jerzego Stempowskiego, ja zaś chciałabym przypomnieć o pewnej metaforze pochodzącej z esejów Zbigniewa Herberta „Labirynt nad morzem” i z Czesława Miłosza. Chodzi o bardzo obrazową metaforę, która mówi o języku łacińskim i języku polskim jako o bluszczu. Otóż język polski, a także – gdyby rozszerzyć tę metaforę – w ogóle dziedzictwo literatury i kultury polskiej, jest jak bluszcz, który potrafi rosnąć, wznosić się, jeśli owija się wokół marmurowej kolumny, czyli języka łacińskiego, dziedzictwa antycznego.

I jeszcze jedna sprawa. Odwołam się również do tej eseistyki – są to akurat eseje wielkich wielbicieli antyku, więc można w nich znaleźć sporo pięknych stwierdzeń na temat wychowania klasycznego czy zalet języka łacińskiego. Mianowicie znalazłam w eseju Micińskiego takie bardzo piękne sformułowanie, mówiące o tym, że dziedzictwo antyczne jest jednym z tych dziedzictw, które budzą potrzebę wyższości, potrzebę dążenia do doskonałości. Myślę, że to jest takie bardzo piękne sformułowanie, które mówi o tym, że dziedzictwo antyczne może stać się zaporą chroniącą przed współczesnym barbarzyństwem, przed chaosem czy irracjonalizmem, może być jakąś podporą, więzią z przeszłością.

To tyle. Dziękuję.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Bardzo pani dziękuję.

Proszę bardzo.

**Przewodniczący Komisji Rewizyjnej
w Towarzystwie imienia Stanisława ze Skarbimierza
Przemysław Kłosiewicz:**

Przemysław Kłosiewicz, adwokat.

Przypomina mi się opowieść księdza kardynała Stefana Wyszyńskiego, który mówił kiedyś, że gdy w latach trzydziestych, jeszcze jako młody kapłan, przebywał w środowiskach górniczych we Francji, zapytał: „A jak jest z liturgią? Czy ona jest odprawiana w języku polskim, czy po francusku?”. Odpowiedź brzmiała: kazania są po francusku, ale msza święta odprawia się po polsku. Były to lata trzydzieste, a wiadomo, w jakim języku odprawiano wtedy msze święte.

Pozwala to na taką refleksję, że łacina, jako pewne odniesienie do antyku obecne w całym społeczeństwie, w kulturze, była powszechna, zrozumiała dla ludzi. Oni mogli nie rozumieć poszczególnych słów, ale rozumieli gesty, rozumieli to, co się działo, dzięki czemu łatwo było im wejść w to życie, które jest wypełnione przez język łaciński, jego pojęcia, jego znaczenia.

W moim domu, a właściwie w naszym domu rodzinnym, u moich rodziców, tradycje klasyczne, antyczne, zawsze były niesłychanie żywe. One były właściwie czymś codziennym, po prostu żyło się nimi na co dzień, tak jakby one były nasze. Oczywiście, można powiedzieć więcej: w jakimś sensie były to nasze korzenie, sięgające dalej niż korzenie narodowe, słowiańskie czy nawet wczesnosłowiańskie. Była to po prostu prehistoria, ale ona się liczyła, była czymś bardzo ważnym.

Miałem to szczęście, że w czasie wojny, będąc wtedy na kompletach w szkole Górskiego, uczęszczałem przez dwa lata na komplety profesora Michalskiego, który mieszkał przy ulicy Noakowskiego 12. Tym, co z tego czasu w sposób szczególnie zapamiętałem, była wystawa, którą zorganizował on 3 maja 1944 r. w swoim mieszkaniu, z posiadanych przez siebie zasobów. Wystawa była poświęcona Konstytucji 3 Maja. To było coś pięknego dla wszystkich tych grup kompletowych, które się w ogóle ze sobą nie znały. Tam, u niego, mogliśmy się w sposób bezpośredni zetknąć z materiałami, które on sam miał w swoich zasobach archiwalnych.

Pamiętam też, już z okresu powojennego, innego profesora, profesora Pieniążka ze szkoły imienia króla Władysława IV. Profesor bardzo żywo tłumaczył nam zawilosci gramatyki łacińskiej, w sposób nie wolny od anegdot. W mojej pamięci pozostały na przykład takie słowa, że w języku polskim jest tylko jeden przypadek, w którym dwa przeczenia dają twierdzenie: „nie, nie”, czyli owszem. To tyle, jeżeli chodzi o anegdoty i opowieści z dawnych czasów.

Dwa lata temu mój wnuk, mój imiennik zresztą, chodząc wtedy do liceum w Antwerpii, uczył się łaciny i greki, ponieważ profesorowie – tam jest taki zwyczaj – zaliczyli mu te zajęcia jako przedmioty obowiązkowe. On akurat nie poszedł tą drogą, bo znalazł się na uniwersytecie, na wydziale informatyki i matematyki, gdzie były połączone te dwie dziedziny. Być może jednak właśnie tacy ludzie będą szukali jakiegoś związku między e-sesami a kulturą łacińską. Dziękuję bardzo.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Dziękuję ślicznie. Mam nadzieję, że tak będzie.
Bardzo proszę.

Profesor w Zakładzie Teorii Literatury i Poetyki w Instytucie Literatury Polskiej na Wydziale Polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim Jakub Lichański:

Panie Przewodniczący! Szanowni Państwo!

Chciałbym poruszyć cztery kwestie i odnieść się do dwóch zagadnień...

(Przewodniczący Ryszard Sławiński: Przepraszam bardzo, ale prosiłbym o przedstawienie się. Potem już nie będę ingerował.)

A, tak, przepraszam. Moje nazwisko Lichański, jestem profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, ale tylko filologiem polskim, niestety, aczkolwiek miałem zaszczyt być uczniem profesora Kumanieckiego.

Te cztery kwestie są następujące.

Po pierwsze, trzeba przywołać nazwisko Wolfa, jego „Darstellung der Altertumswissenschaft” z 1839 r., bo nasza rozmowa powtarza w większości tezy, które Wolf wtedy właśnie postawił. Przypomnę tylko dwie z nich. Mianowicie według Wolfa antykowi zawdzięczamy poczucie jedności kultury duchowej Europy oraz rozwój ideału harmonijnej osobowości. Przypominam o tym, bo warto pamiętać o tych rzeczach i w ogóle warto wracać czasem do Wolfa.

Druga kwestia to problem klasycyzmu. Otóż wydaje mi się, że wraz ze śmiercią profesora Lorentza zainteresowanie klasycyzmem, w takim szlachetnym znaczeniu tego pojęcia, zniknęło. A przecież klasycyzmowi Polska jako kraj bardzo wiele zawdzięcza.

Jeśli chodzi o kolejną kwestię, upomniałbym się także o dwóch wielkich pisarzy, z których jeden został wspomniany, bo chyba nie mógłby nie zostać wspomniany w takim kontekście – myślę o Janie Parandowskim. Jest dość obrzydliwe, że ten człowiek pozostaje jakby na marginesie. Dlaczego? Przecież jeżeli chcemy wracać do antyku, powinniśmy do niego wracać przez lektury Parandowskiego. Drugim jest Konstanty Ildefons Gałczyński, jeden z naszych największych poetów, który bardzo interesująco nawiązywał do Horacego i do Owidiusza, jako jeden z niewielu współczesnych twórców. Gałczyński miał odwagę wrócić do Owidiusza, zmierzyć się z nim, oczywiście w poemacie „Niobe”. To też jest kwestia, o której powinniśmy pamiętać.

Czwarta sprawa dotyczy edukacji. Ja bym powiedział ostro, nawiązując do wcześniejszych wypowiedzi: albo wrócimy do uczciwej edukacji obejmującej tradycję antyczną, albo możemy sobie w ogóle wszystko – przepraszam – odpuścić. Jeżeli państwo nie chcą słyszeć takich słów w takich miejscach, to proszę pamiętać, że tylko powrót do tradycji klasycznej, do klasycznego wykształcenia pozwoli nam uniknąć tak obrzydliwego żargonu. Jeżeli państwo chcą widzieć nadal „Wojowniczkę Xenę”, „Star Wars” czy „Star Trek” jako ideał kultury, ewentualnie to, co podano nam ostatnio jako rekonstrukcję wojny trojańskiej, to proszę uprzejmie.

I jeszcze dwie uwagi. Został tu przywołany postmodernizm. Jeżeli mówimy o prawdziwej filozofii, nie mówmy o postmodernizmie, bo to nie jest filozofia. Nie będę tego rozwijał, powiem tylko tyle, że z reguły jest ona oparta właśnie na tym, o czym był łaskaw przypomnieć profesor Domański. Jestem bardzo wdzięczny za to stwierdzenie, ponieważ pan profesor z racji swojej wiedzy i kompetencji jest tutaj najbardziej uprawniony do przypominania takich, mówiąc w cudzysłowie, drobiazgów. Otóż postmodernizm wyrasta w większości z bardzo złych, bardzo niedobrych, bardzo niechlujnych tłumaczeń antyku i do tych tłumaczeń dobudowuje komentarze. W wielu wypadkach buduje się te tłumaczenia w ten sposób, że cytuje się do przecinka, bo tak jest wygodniej – dotyczy to głównie komentarzy do Platona. To pierwsza uwaga.

Druga uwaga również dotyczy spraw związanych z antykiem. Mianowicie wszelkie badania filologiczne – mam nadzieję, że w tej dziedzinie mogę się uważać za osobę kompetentną – zawsze muszą powracać w pewnym sensie do antyku, ale do antyku prawdziwego. W związku z tym apele, które tutaj usłyszeliśmy, dotyczące po-

wrotu do nauki języków klasycznych, są absolutnie, bezwzględnie uzasadnione. Jan Parandowski powiedział kiedyś – słowa te dotyczyły czegoś innego, dlatego je sparafrazuję – że antyk jest swoistym pionem, który nam wyznacza porządek. O tym również powinniśmy pamiętać, bo to jeden z najważniejszych elementów procesu edukacyjnego, proszę państwa. Bez tego, niestety, wiek XXI skończymy raczej dość smętnie.

Przepraszam za taki kasandryczny ton, ale niestety, tak to widzę. Powrót do liceum klasycznego nie jest bowiem tylko sugestią z naszej strony, proszę państwa. On jest koniecznością, jeżeli chcemy mówić o ocaleniu kultury. Dziękuję za uwagę.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Bardzo dziękuję.
Proszę bardzo.

**Studentka w Wyższej Warszawskiej Szkole Humanistycznej
Magdalena Tarajda:**

Nazywam Magdalena Tarajda, jestem studentką pierwszego roku w Wyższej Warszawskiej Szkole Humanistycznej. Są tutaj moi profesorowie: pani Sarnowska-Temeriusz, pan Mrowcewicz, pan Snopek...

Chciałabym nawiązać do tego, o czym mówili moi przedmówcy, przede wszystkim do wypowiedzi pani, która mówiła o przepaści między pokoleniem naszym i poprzednim. Otóż doszliśmy z koleżankami do wniosku, że znajomość lub nieznanostwo antycznych korzeni być może w jakimś stopniu powiększa tę przepaść, ale na pewno nie jest czynnikiem najważniejszym. Nie sądzę, że fakt, iż tak naprawdę dopiero zaczynamy się uczyć o antyku, sprawia, że jesteśmy w jakimś stopniu gorsi. Nie wiem, ale takie odniosłam wrażenie, słuchając tego, co mówiła przedmówczyni.

Chciałabym również nawiązać do tego, co powiedział jeden z panów, który stwierdził, że powinniśmy, może nie od najmłodszych lat, ale dość wcześnie, poznawać podstawy filozofii czy kultury antycznej. Ja, jako studentka pierwszego roku, która dopiero się tego uczy, dochodzę do wniosku, że jest to na tyle trudny i na tyle specyficzny dział wiedzy, że studia to jest ten etap, kiedy ewentualnie powinno się to zaczynać. Uważam, że młodsze osoby nie będą w stanie tego zrozumieć, bo jest to trudne również dla nas. Nie ma sensu uczyć tego wcześniej, bo jest to specyficzny rodzaj wiedzy, więc albo się ją pokocha, albo nie. Zmuszanie ludzi w młodszym wieku do poznawania antyku może tylko do tego zniechęcić. Uważam, że jeżeli ktoś naprawdę będzie chciał poznać antyczne korzenie kultury, dowiedzieć się, skąd się wywodzi ta kultura, w której żyjemy, to i tak w jakiś sposób odnajdzie tę wiedzę. Jeśli go to zainteresuje, to się tym zajmie, a jeżeli nie, to trudno – nie należy go do tego zmuszać.

Takie jest moje zdanie na ten temat. Dziękuję.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Dziękujemy bardzo.
No, zdaje się, że teraz będzie coraz goręcej.
Bardzo serdecznie zapraszam panią do mównicy.

**Kierownik Pracowni Poetyki Teoretycznej i Języka Literackiego
w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk
Teresa Dobrzyńska-Janusz:**

Teresa Dobrzyńska, Instytut Badań Literackich.

Nasza dyskusja o tradycji antycznej, której żywotność powinna być zachowana, odbywa się chyba w bardzo dobrym dniu, pod Słońcem, ale i pod Wenus, która właśnie zaćmiła Słońce. Zaćmiła, ale nie przyćmiła.

Sądzę, że to myślenie, chociażby o tym układzie astronomicznym, wytycza pewien kierunek refleksji, mianowicie taki, że w różnych dziedzinach życia – to powinno być społeczeństwu, młodym ludziom uświadamiane – zachowywane są pewne wzorce myślenia, pewne struktury wytworzone w antyku, widoczne chociażby w nazwach planet, które nad nami krążą: Wenus, Mars, Merkury, Jowisz itd. Nie od zawsze był przyjęty taki system numerowania – na szczęście – który służy do rozpoznawania ulic amerykańskich. Te struktury, które są widoczne w znakach zodiaku czy w astronomii, dotyczą całych obszarów myślenia. Nie tylko toposy, nie tylko wzorce gatunkowe, nie tylko cytaty fundują naszą wspólnotę europejską, ale również sposób myślenia ludzi antyku, w którym są formułowane całe dziedziny wiedzy czy sztuki.

Chcę tu przywołać sąd wielkiego uczonego, badacza antyku, głównie bizantyjskiego, ale przecież starożytnego. Mam na myśli Sergieja Awierincewa, który mówił, że teologia chrześcijańska jest oparta na strukturach myślenia prawniczego wypracowanych w Rzymie. Nawet w czymś tak, wydawałoby się, odległym dziedziczymy ten styl myślenia. Biorą się stamtąd różne formy dyskursu i zachowań społecznych – powinniśmy być tego świadomi.

Chciałabym jeszcze powiedzieć o kilku rzeczach bardziej specjalistycznych, polonistycznych, ale mających też pewien szerszy wymiar społeczny, ogólnohumanistyczny. Mianowicie bardzo ciekawe są dzieje pewnej formy wierszowej pochodzącej z antyku – heksametru. Na fali tej odnowy, tych protestów, które formułowały estetykę i filozofię romantyczną, pojawia się między innymi heksametr, jako coś zarazem starego i nowego, coś, co jest wzięte z bardzo dawnych czasów i zaczyna funkcjonować w nowej kulturze, żeby wspomnieć chociażby o dokonaniach Mickiewicza, Norwida itd.

Bardzo ciekawe są dzieje tej formy w jej nowoczesnej mutacji w XX wieku, kiedy rodzi się wiersz toniczny, który miał być czymś całkowicie nowym. Okazuje się jednak, że biegnie on właściwie dwoma nurtami: trzyakcentowca i sześćakcentowca. Skąd taki skok? Przecież można sobie wyobrazić różne formy toniczne: trzy-, cztero-, pięcio-, sześćo-, siedmioakcentowe. A jednak upowszechnił się sześćakcentowiec, który jest właśnie mutacją heksametru i pełni takie funkcje, jakie wyznaczył im chociażby Norwid.

Jeśli popatrzymy na poezję II wojny światowej, znajdziemy nagle bardzo dużo wierszy tego rodzaju, napisanych właśnie w formach heksametrycznych, tyle że w odmianie tonicznej. Heksametr zapewnia bowiem wzniosłość, tworzy pewien heroiczny koturn. Te formy są żywe, a ich funkcje można zrozumieć, jeśli rozumie się ich korzenie. Dodam, że do heksametru nawiązuje również Herbert, więc nie jest to jakaś zupełnie muzealna forma. Dziękuję bardzo.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Bardzo pani dziękuję.
Proszę, jeszcze jedna pani.

Nauczyciel Języka Polskiego w Zespole Szkół nr 1 w Sulejówku

Krystyna Pachnik:

Nazywam się Krystyna Pachnik, jestem nauczycielem języka polskiego w szkole podstawowej i w gimnazjum w Sulejówku.

Mam wrażenie, że jestem na pierwszej linii w okopach Świętej Trójcy, jako polonista uczący bardzo przeciętne polskie dzieci w bardzo przeciętnej szkole. Kiedy przyglądam się efektom naszej pracy, pracy nauczycieli humanistów, i porównam to z tym, co dzisiaj usłyszałam, to czuję się bardzo szczęśliwa, że padają w tym miejscu, w tak szacownym gronie, tak wspańiałe stwierdzenia, że nauki humanistyczne są podstawą rozwoju duszy człowieka, a zatem podstawą człowieczeństwa w ogóle. Jeśli więc światu w ogóle chodzi o kształtowanie człowieczeństwa, a nie o coś innego, to w tym miejscu zaapeluję do szanownych panów senatorów i tych wszystkich, którzy władają Rzeczpospolitą, by mieli na względzie dobro tego świata i zaapelowali do twórców programów szkolnych i reform oświatowych o rzeczywiste postawienie humanistyki na piedestale. Bo w podstawie programowej niemal każde dzieło jest przedstawiane wyłącznie we fragmencie – szkoła polska jest tylko fabryką gwiazd, a uczeń jest sprowadzony do liczby punktów z tak zwanego testu kompetencji. Wszystko to zabija osobowość, bo na koniec gimnazjum ucznia interesuje tylko to, ile ma punktów.

Proszę państwa, tak dalej być nie może. Jeśli nie będziemy kształcić osobowości uczniów poprzez zainteresowanie ich literaturą piękną... Słyszałam, że uczniowie we Włoszech przez cały rok studiują dantologię – ja zastanawiam się, kiedy „Bogurodzica” zostanie przedstawiona we fragmentach. Mity są rzeczywiście przebrane i prezentowane dzieciom w formie komercyjnych filmów amerykańskich, w których dominuje seks, w których liczy się tylko piękne, opalone ciało. Tak być nie może, bo prawdziwe wartości giną.

Wspomnę jeszcze o sztuce, o wychowaniu przez sztukę. W Szkole Rycerskiej księcia Adama Czartoryskiego nasi wspańiali bohaterowie: Sowiński, Kościuszko, byli wychowywani na Owidiuszu, rozwijali się poprzez kulturę humanistyczną. A my, w naszej współczesnej polskiej szkole, mamy przedmiot sztuka, który sprowadza się do dwóch godzin w gimnazjum.

Jeśli polska szkoła podstawowa stanie się wkrótce, z uwagi na brak pieniędzy, powszechnym wykształceniem, a jako nauczyciel widzę, że do tego wszystko zmierza, to naprawdę apelujemy do tych, którzy władają polską oświatą, by jak najwięcej treści humanistycznych było w szkole podstawowej.

Nie zgadzam się ze wspańiałą studentką szkoły humanistycznej, że na filozofię jest kiedyś za wcześnie. Proszę państwa, filozofia to sztuka zadawania pytań, a właśnie dzieci są w tym najwspańialsze. Jeśli czegoś nie zrobimy, antyk, jako podstawa kształcenia humanistycznego, nie odżyje. Wyprodukujemy młodych ludzi, którzy będą analfabetami, bo tak naprawdę antyk potrzebny jest do rozumienia każdego współczesnego tekstu kultury, a także do obrony przed amerykańską i różnymi innymi zagrożeniami.

Ja myślę, że odpowiedź na odwieczne pytanie: być czy mieć, należy zacząć właśnie od formułowania zadań wobec szkoły polskiej, czyli od kształcenia, proszę państwa, nie tylko dzieci, ale również nauczycieli. Dziękuję bardzo. (*Oklaski*)

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Dziękuję bardzo.

Bardzo proszę.

**Student na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych
na Uniwersytecie Warszawskim**

Władysław Józwicki:

Dzień dobry.

Nazywam się Władysław Józwicki. Ja również jestem studentem pierwszego roku, z tym że Uniwersytetu Warszawskiego. Studiuję na kierunku humanistycznym, chociaż akurat nie filologię ani filologię klasyczną, tylko nauki polityczne.

Ja również pozwolę sobie nie zgodzić się z moją rówieśnicą, która zanegowała konieczność czy potrzebę nauczania kultury starożytnej, języków klasycznych – greki, łaciny, a także nawiązywania do dzieł, które powstały w tamtym czasie. Nie możemy zaprzeczyć, że w tym, co jest tworzone współcześnie, w każdym przejawie współczesnej kultury, we wszystkich jej aspektach, są obecne nawiązania, zapożyczenia czy wnioski wynikające ze starożytności. Brak nauczania o tym, skąd one się biorą, co naprawdę znaczą, jak należy do nich podchodzić i jak do nich podchodzili ich autorzy, może prowadzić tylko do tego, o czym wspomniał jeden z moich przedmówców, czyli do tak błędnych interpretacji, jakie proponuje między innymi postmodernizm.

Uważam więc, że w tej sytuacji, skoro nie można polemizować z twierdzeniem o wszechobecności nawiązań do antyku i starożytności, trzeba wiedzieć, czym on był, trzeba umieć się w tym poruszać. Oczywiście, można temu zaprzeczać, ale trzeba wiedzieć, czemu się zaprzecza. Dziękuję bardzo.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Bardzo panu dziękuję.

Teraz jeszcze pani, proszę.

Przedtem tylko powiem, że będziemy już kończyć debatę, z uwagi na pewne ograniczenia czasowe związane z korzystaniem z tej sali.

Bardzo proszę.

**Studentka w Wyższej Warszawskiej Szkole Humanistycznej
Kinga Rongers:**

Dzień dobry.

Jestem studentką pierwszego roku w Wyższej Warszawskiej Szkole Humanistycznej. Nazywam się Kinga Rongers.

W nawiązaniu do poprzednich wypowiedzi, chciałabym wyjaśnić, że moja koleżanka nie twierdziła, że nauki humanistyczne, takie jak filozofia, estetyka itp., należy wycofać ze szkoły. Nic z tych rzeczy. Chodziło nam tylko o to, że na poziomie szkoły podstawowej dzieci powinny poznawać – naszym zdaniem – tylko elementy tych nauk i ewentualnie dalej podejmować jakąś dalszą naukę w celu bardziej szczegółowego poznania tych zagadnień. Nie chodzi o całkowite anulowanie tego typu edukacji, tylko o to, by dać uczniom możliwość wyboru, czy chcą się tego uczyć, czy nie, zamiast

wpajać im na siłę rzeczy, z których być może nie skorzystają. Bo najpierw muszą przy-
swoić jakieś informacje, a potem je po prostu zapominają. To jest swego rodzaju strata
czasu. Dziękuję.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Dziękuję bardzo.

Bardzo proszę.

**Docent w Pracowni Literatury Oświecenia
w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk
Jerzy Snopek:**

Nazywam się Jerzy Snopek, pracuję w Instytucie Badań Literackich Polskiej
Akademii Nauk i w Wyższej Warszawskiej Szkole Humanistycznej.

Mój wypowiedź będzie miała taki bardzo partykularny, cząstkowy charakter,
nawiążę w niej bowiem tylko do jednego wątku, który jednak uporczywie powracał
w dyskusji. Chodzi o takie swoiste pendant do znakomitego referatu pana profesora
Tomkowskiego. Zabieram głos dlatego, że nie doczekałem się pewnego nazwiska
wśród wymienianych tutaj wybitnych polskich eseistów XX wieku, którzy tworzyli
jakieś wzorce stosunku do kultury i tradycji śródziemnomorskiej. Chodzi oczywiście –
to jest tylko przypomnienie, bo państwo doskonale to nazwisko znają, uważam jednak,
że ono powinno zostać tutaj wymienione – o Stanisława Vincenza. Dlaczego?

Otóż pisarstwo Vincenza w sposób doskonały... „doskonały” to może nie jest
akurat najlepsze określenie, ale na pewno w sposób niesłychanie doniosły, interesujący
i istotny odzwierciedla pewną postawę wobec kultury w kontekście szerszego dzie-
dzictwa, dziedzictwa śródziemnomorskiego, pewną postawę wobec kultury rodzinnej
i zjawisk kultury uniwersalnej, co wydaje mi się dzisiaj bardzo istotne. Dlatego się-
gnięcie do Vincenza również przyniosłoby, jak sądzę, wiele pożytku, jeśli chodzi o
refleksje na temat dzisiejszego stanu kultury, tożsamości kulturowej itd.

Vincenz był jednocześnie, jak państwo wiedzą, wielkim znawcą i orędownikiem
kultur lokalnych. Kulturę pojmował jako wielobarwną tkaninę, której poszczególne nitki
wywodzą się z rozmaitych tradycji lokalnych, które są równie cenne, równie wartościowe
i niosą autonomiczne wartości. Jednocześnie był wielkim orędownikiem i znawcą antyku,
zarówno grecko-rzymskiego, jak i tradycji biblijnej. W tym kontekście szczególnie cieka-
we – już kończę, przepraszam – jest to, że kształtowanie się tożsamości kulturalnej, swo-
istości kulturalnej poszczególnych narodów, mało tego, ludów, regionów, społeczności
lokalnych, rozumiał jako pewien układ dynamiczny, jako ciągłą oscylację między tym, co
już uznane za swojskie, a tym, co obce, uniwersalne, ale jakoś interioryzowane, absorbo-
wane, wchłaniane, przepracowywane. Na tym według niego polega rozwój kultury.

W tym kontekście, jak widzimy – to oczywiście truizm – żeby dobrze rozumieć
siebie, rozumieć własną kulturę, uświadamiać sobie własną tożsamość, musimy nie-
ustannie poza nią wykraczać. Dziękuję bardzo.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Dziękuję bardzo.

Szanowni Państwo, zbliżamy się ku końcowi.

O kilka zdań podsumowania poproszę jeszcze inicjatora dzisiejszego seminarium, pana senatora Jana Szafranca, a potem powiem to, co do mnie należy.

Senator Jan Szafraniec:

Dziękuję bardzo.

To oczywiście będzie trudne, bo na tej sali jestem chyba jedynym psychiatrą. Ale okazuje się, że można pokusić się o pewne związki między literaturoznawstwem a psychiatrą.

Pani profesor Sarnowska była uprzejma mówić o archetypie. W związku z tym przypomniała mi się teoria Gustawa Junga, jego teoria archetypu. Jung rozumiał archetyp jako mądrość przeszłości, o czym mówił pan profesor Tomkowski, a więc jako pewne wzorce, które powstały jeszcze przed ludzką historią, gdzieś na samym jej początku. Dochodzenie do człowieczeństwa może się odbywać na podstawie indywiduacji, a więc jak gdyby ukształtowania w sobie tej wielowiekowej mądrości – mądrości, która powstała jeszcze przed ludzkim pokoleniem. Tymczasem okazuje się, że te archetypy są we współczesnej literaturze – choć nie wiem, czy dobrze to rozumiem – w jakimś sensie zniekształcane, fałszowane, może nawet degradowane. Na przykład Prometeusz Goethego jest archetypem takiego romantycznego bohatera, natomiast André Gide przedstawia go w sposób bardzo groteskowy, zdeprecjonowany, jak gdyby odziera go z tych pozytywnych atrybutów. Orfeusz traci jakby ten element jasności i wchodzi w ciemność, a współczesny Odyseusz nie podąża już w stronę rodziny, tylko staje się jakimś wiecznym wędrowcem. Profesor Wojtczak-Szyszkowski wspomniał o syndromie Machabeusza, a więc personifikacji miłości do ojczyzny – to też odchodzi gdzieś w cień, podobnie jak król Partów, będący personifikacją pewnej życzliwości. Jednym słowem, archetypy tracą współcześnie tę swoją mądrość i nie są aktywizowane we współczesnych umysłach.

To był raczej głos w dyskusji, jeśli zaś mogę pokusić się o jakieś podsumowanie, to powiedziałbym, że wszyscy dochodzimy do wniosku, do takiej wspólnej konkluzji, że nie możemy, nie powinniśmy zrywać z cywilizacją antyczną, gdyż jej odrzucenie, jak wyraźnie powiedział profesor Tomkowski, prowadzi na manowce, gdzie zamiast kulturowanej tradycji pojawiają się przelotne mody o bardzo krótkiej żywotności.

Kolejna sprawa. Istnieje potrzeba wychowywania uczniów i studentów i przybliżania im walorów cywilizacji antycznej, także poprzez naukę łaciny, ale nie tylko, bo również poprzez wychowanie na literaturze, moralitecie i filozofii, między innymi właśnie na filozofii Homerowskiej, wpisanej w „Iliadę”, bo jest to pewne antidotum na postmodernizm, czyli tak zwaną ponowoczesność.

I jeszcze jest jedna uwaga, nawiązująca do referatu pana Mrowcewicza. Otóż niewątpliwie następuje marginalizacja zasad, które harmonizowały życie osób i społeczności, marginalizacja przysłów, skrzydlatych słów i tych wszystkich złotych myśli, które zdobiły kiedyś herby, były zawołaniami rodów, a nawet narodów, sprzyjały w gruncie rzeczy utrzymaniu kondycji moralnej, duchowej i psychicznej i były przekazywane z pokolenia na pokolenie jako coś, co obliguje do utrzymania jakiejś samodyscypliny danego rodu czy jednostki. Wydaje mi się, że dobrze by było powracać do tych właśnie wzorców, które zachowały się jedynie w zawołaniach biskupich.

Skoro ta sesja ma miejsce w Senacie Rzeczypospolitej Polskiej i skoro spotkał się na posiedzeniu Komisji Kultury i Środków Przekazu, wydaje mi się, że mo-

że rzeczywiście warto by było powrócić do nowelizacji pewnych ustaw, dokonać jakichś zmian, które mogłyby takie elementy wprowadzić do naszych szkół czy uczelni. Dziękuję bardzo.

Przewodniczący Ryszard Sławiński:

Bardzo dziękuję panu senatorowi za to króciutkie podsumowanie.

Proszę państwa, myślę, że możemy zbliżyć się do końca. Jeśli państwo pozwolą, to jeszcze podzielę się z państwem jedną swoją uwagą – nie będzie to podsumowanie, tylko refleksja.

Usłyszałem tak wiele mądrych słów, że mimo tych zagrożeń, o których tutaj mówiono, jestem optymistą i wierzę, że tradycja antyczna nie zostanie przerwana czy oderwana od nas, bo zawsze, choć różnymi drogami, będziemy do niej wracać – co więcej, powinniśmy do niej wracać, bo jak ktoś tutaj mądrze powiedział, jest ona naszą bazą i powinna nią pozostać.

Dziękuję państwu bardzo za udział w tym niezwykle interesującym spotkaniu.

Zamykam seminaryjne posiedzenie senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu, poświęcone tematowi „Dziedzictwo antyczne a polska tradycja kulturowa”.

Dziękuję państwu bardzo serdecznie. Do widzenia. *(Oklaski)*

(Koniec posiedzenia o godzinie 12 minut 42)

Kancelaria Senatu

Opracowanie: Marek Regulski

Publikacja: Biuro Prac Senackich, Dział Stenogramów

Druk: Biuro Administracyjne, Dział Wydawniczy

Nakład: 5 egz.

ISSN 1643-2851